

KAROL MAY

WALKA O MEKSYK

SCAN-DAL

POSZUKIWANIA

Działania wojenne przeniosły się na południe, życie na hacjendzie del Erina wróciło więc do normy. Pedro Arbellez siedział przy oknie i obserwował bydło pasące się na pobliskim pastwisku.

Stary hacjendero wyzdrowiał już, odzyskał spokój i równowagę, ale na jego twarzy gościł smutek. Ciężko przeżywał ból i przygnębienie córki spowodowane utratą męża.

W pewnej chwili ujrzał jeźdźców zbliżających się od północy. Na przedzie jechało dwóch mężczyzn i kobieta, z tyłu jakiś człowiek poganiał konie dźwigające bagaże.

— Kto to może być? — zapytał Arbellez Marię Hermoyes, krzątającą się po pokoju.

— Zaraz się dowiemy. Zmierzają w naszym kierunku i wkrótce tu będą.

Jeźdźcy wjechali przez bramę na podwórze. Jakież było zdziwienie Arbelleza na widok Pirnera i jaka radość Emmy, gdy ujrzała Rezedillę i Czarnego Gerarda, którego darzyła sympatią.

Przywitawszy się serdecznie, zasiedli przy stole i wzajemnie zaczęli opowiadać o wszystkim, co się wydarzyło po wyjeździe Emmy z Guadalupe. Goście spodziewali się zastać tutaj Sternaua i jego przyjaciół. Zmartwili się srodze, gdy usłyszeli, że doktor z towarzyszami znowu zaginął.

— Czy zrobiono wszystko, aby ich odszukać? — spytał Gerard.

— Tak — odparł Arbellez — ale bezskutecznie. Sam Juarez posłał na zwiady Sępiego Dzioba. Sławny traper wrócił z niczym. Znalazł wprawdzie ślad i podążył za nim do Santa Jaga, ale tam wszystko się urwało.

— Hm. Więc udali się do Santa Jaga? To już coś. Trzeba jeszcze raz zacząć od początku.

— Kto miałby się tym zająć?

— Oczywiście ktoś, kto się zna na tropieniu. Ja więc wyruszę.

— Ty?! — krzyknął Pirnero. — Nie! Nie chcę, aby mój zięć narażał się na takie niebezpieczeństwa!

— W takim razie ci, których kochamy, muszą zginąć. Pirnero się spieszył.

— Niech to diabli wezmą! Ale masz rację, Gerardzie. Trzeba ich koniecznie odnaleźć. A tak się cieszyłem, że mam wreszcie zięcia! Co ty na to, Rezedillo?

Wszyscy spojrzeli na dziewczynę.

— Narzeczoną moja dobra i dzielna... Pogładziła go po rękę.

— Oczywiście, że zgadzam się, kochany. Czuję, że właśnie tobie uda się ich odnaleźć. Jedź w imię Boże, tylko przyrzeknij, że będziesz bardzo ostrożny!

— Nie bój się o mnie! Teraz mam ciebie, mam dla kogo żyć i stale będę o tym pamiętał.

— Mówi jakby czytał z książki — mruknął Pirnero. — Jeżeli Rezedilla mu ufa, dlaczego ja nie miałbym? Kiedy odjeżdżasz, mój zięciu?

— Dziś za późno, zapadła już noc, więc jutro o świcie. Wezmę dwóch vaquerów, przez których będę kontaktował się z wami. A teraz chodźmy już spać.

Arbellez ulokował go w jednej z gościnnych izb na piętrze. Zostawszy sam, Gerard zaczął obmyślać plan działania. Zgasił światło i otworzył okno. Patrzył na niebo usiane gwiazdami. Wtem wydało mu się, że usłyszał jakiś szmer. Uważnie zaczął obserwować podwórze. Gdy spojrzął w dół, spostrzegł, że ktoś wszedł przez okno do pomieszczenia znajdującego się pod jego pokojem. Może to jakiś vaquero wracał od służącej? — pomyślał. Nie — zreflektował się. Zbyt wiele niespodzianek zaszło w tym domu, aby się można zadowolić przypuszczeniem.

— Kto tam?! — krzyknął.

Jakaś postać szybko przebiegła przez dziedziniec i skierowała się w stronę parkanu.

— Stój, bo strzelam!

Uciekający nie zatrzymał się. Gerard błyskawicznie chwycił swą zawsze nabitą strzelbę i wycelował w zbiega. W słabym świetle gwiazd nie widział go dokładnie, orientował się tylko, w jakim zmierza kierunku. Wystrzelił kilkakrotnie raz za razem, ale chybił. I to może się przytrafić najlepszemu strzelcowi.

Nie mógł pozwolić, by człowiek uciekł. W okamgnieniu zatknął za pas rewolwer i nóż, przywiązał lasso do nogi łóżka i ześlizgnął się po nim na podwórze. Przesadził płot i zaczął nasłuchiwać.

Po chwili w pobliżu, na lewo od siebie usłyszał parskanie konia. Cicho jak kot pobiegł w tamtą stronę. Nie zdążył jednak. Po paru sekundach rozległ się tętent. Ten, którego chciał pochwycić, mknął już pełnym galopem.

Gerard zatrzymał się. Popułniłby wielki błąd, gdyby teraz po ciemku szukał śladów tamtego i jego wierzchowca. Mógłby je zetrzeć własnymi nogami. Przeskoczył płot w innym miejscu niż przed chwilą, wrócił na dziedziniec i zmierzał do frontowego wejścia.

Strzały obudziły mieszkańców hacjendy. Zapalono światła. Jakiś vaquero wybiegł mu naprzeciw.

— Ach, senior Gerard, niepokoją się o pana. Myślą, że pana zabito.

— Jak najprędzej można obudzić i zwołać służbę?

— Nad drzwiami jadalni wisi dzwon. Wystarczy uderzyć i wszyscy zjawią się natychmiast.

Po chwili w jadalni zgromadziła się służba i domownicy. Większość miała latarki. Gerard opowiedział, co zaszło.

— Co się mieści pod moim pokojem? — zapytał hecjendera.

— Kuchnia.

— Wszyscy vaquerzy mieszkają w tym budynku?

— Nie. Większość śpi przy trzodach.

— Czy służąca nocuje w kuchni?

— Nie — odpowiedziała Maria Hermoyes. — Kuchnia jest w nocy zamknięta. Klucz mam przy sobie.

— Okno było otwarte?

— Tak. Zawsze jest lekko uchylone.

— Trzeba przede wszystkim sprawdzić, czy drzwi do kuchni są w dalszym ciągu zamknięte.

I tak też było. Nie otworzyli ich, tylko przeszli do sieni i frontowymi drzwiami przedostali się na podwórze.

Zapalono latarnie. W ich blasku Gerard zaczął dokładnie badać ziemię pod oknem kuchennym. Była nieco rozmiękła, bo służba niekiedy wylewała przez okno wodę. Ujrzał wyraźne ślady stóp. Jakiś człowiek niewątpliwie tą drogą wchodził do kuchni i z niej wychodził.

— To nie vaquero — stwierdził Gerard. — Intruz miał niewielkie stopy i nosił delikatne obuwie. Później odrysuję ich kształt na papierze. Może mi się przydać. No, nic tu już po nas. Chodźmy do kuchni!

Polecił, by dobrze ją oświetlono, po czym wraz z domownikami dokładnie przeszukał wszystkie kąty, piec, meble. Potem prosił Marię Hermoyes, by sprawdziła, czy nic nie zginęło. Stara kobieta po chwili oświadczyła, że nie zauważyła nic podejrzanego.

— Nie rozumiem — powiedziała — czego tu szukał ten człowiek.

— Mam nadzieję, że zaraz się dowiemy. Kto wyszedł z kuchni ostatni, seniorita?

—Ja.

— Czy opuszczając ją miała pani w ręku jakąś butelkę?

— Nie.

Gerard schylił się i podniósł mały korek, leżący na ziemi obok niskiego kotła z wodą.

Maria chciała go wziąć do ręki i obejrzeć, ale Gerard nie pozwolił.

— Nigdy za dużo ostrożności! Niech pani mu się przyjrzy, ale nie dotyka.

— Nie mamy takiej flaszeczki.

— Hm — mruknął Gerard. — Jest wilgotny. Dałbym głowę, że jeszcze przed paroma minutami zatykał butelkę. Ten, kto tu był, zgubił go i albo nie szukał wcale, albo nie mógł znaleźć w ciemności.

— Po co mu była ta butelka? — zdziwił się Arbellez. — Nic nie pojmuję.

— Na pewno rozwiążemy tę zagadkę — zapewnił traper. Podeszedł do okna. — Nie ulega wątpliwości, że nasz nieproszony gość wszedł tędy. Na parapecie zostało jeszcze trochę wilgotnej ziemi. — Oświetlił latarką podłogę obok kotła z wodą. — Tu również leży grudka lepkiego błota. Senior Arbellez, jaki stąd wniosek?

— Że ten kiep kręcił się koło kotła.

— Oczywiście! I tu przecież zgubił korek. Można więc sądzić, że w kuchni otworzył butelkę. Zachodzą dwie ewentualności. Po pierwsze: obcy człowiek wchodzi w nocy do cudzej kuchni, aby napełnić małą flaszeczkę wodą z kotła. Co pan na to? — zwrócił się do Arbelleza.

— Zupełnie nielogiczne. Na podwórzu jest wody pod dostatkiem.

— A więc po drugie: obcy człowiek wkrada się do cudzej kuchni z pełną flaszeczką, której zawartość wlewa do kotła...

— Na Boga, to całkiem prawdopodobne! — zawołał Arbellez. — Co mogła zawierać buteleczka?

— Przyjrzałem się dobrze wodzie w kotle. Seniorita, czy gotowano w nim coś tłustego?

— Nie. W tym kotle nie gotuje się żadnych potraw. Służy wyłącznie do podgrzewania wody i codziennie jest myty. Wczoraj nawet kazałam go wyszorować piaskiem i napełnić świeżą wodą źródlaną.

— Na powierzchni pływają drobne oczka tłuszczu.

— Trucizna?! — wykrzyknął przerażony Arbellez. — Przyprowadźcie tę starą, głuchą sukę i przynieście dwa króliki.

Za chwilę powrócili do kuchni ze zwierzętami. Umoczono w wodzie małe kawałki chleba i dano je zwierzętom. Organizm królików zareagował błyskawicznie: po dwóch minutach oba zdechły. Zaraz potem — jakby gwałtownie czymś uderzona — padła suka.

— Trucizna, naprawdę trucizna! — rozległy się przerażone głosy.

— Niestety — potwierdził Gerard. — To chyba sok trującej rośliny, którą Indianie z

Kalifornii nazywają menel–bale, czyli liść śmierci. Słyszałem nieraz o straszliwym jej działaniu.

— Mój Boże, co za okropność! — zawołała Maria Hermoyes. — Ktoś z nas miał być otruty!

— Ktoś? — traper pokręcił głową. — Myli się seniorita! Jeśli się wlewa truciznę do kotła, z którego wszyscy czerpią wodę, szykuje się śmierć wszystkim.

Zrobiło się cicho i smutno. Milczenie przerwał Arbellez. Mówił z trudem:

— Bogu niech będą dzięki, że pan jest z nami. Gdyby nie pana doświadczenie i niezwykła przenikliwość, nie doczekalibyśmy jutrzejszego dnia. To straszne! Ale komu mogło zależeć na zabiciu nas wszystkich?

Gerard wzruszył ramionami.

— I senior pyta jeszcze? Przecież to jasne, że chodziło o ród Rodrigandów!

— Na Boga! Ale nikt z nas do niego nie należy!

— I pan jednak, i pana domownicy wiedzą bardzo wiele, ba, wszystko o tej historii. Sternau, obydwaj Ungerowie i inni, którzy także znają tajemnicę rodu, zniknęli. Pozostali tylko mieszkańcy hacjendy. Musieli więc zginąć.

— Już rozumiem. Ale komu na tym zależy?

— Ja myślę, że przede wszystkim Cortejowi — powiedziała bez wahania Maria Hermoyes.

— Chyba ma pani rację — przytaknął jej Czarny Gerard. — Złapiemy łotra i wszystko nam wyśpiewa.

— A jeżeli nie?

— Phi! — Gerard lekceważąco machnął ręką. — Nie chciałbym być w skórze tego drania! My, ludzie prerii, mamy swoje sposoby, aby najtwardszych zmusić do gadania.

— Naprawdę przypuszcza pan, że uda się ująć tego człowieka? Przecież miał dość czasu, żeby oddalić się w bezpieczne miejsce.

— Czas, czasem, ale odjechał na tym samym koniu, na którym przybył do hacjendy. Zwierzę jest na pewno zmęczone. Mam zaś nadzieję, że ja i dwaj vaquerzy otrzymamy wypoczęte wierzchowce.

— Najlepsze, jakie stoją w stajni! Ale i one na nic się nie zdadzą, jeśli, wbrew pana przypuszczeniom, niedoszły zbrodniarz jest już w domu.

Gerard pokiwał głową.

— Oj, senior, senior! Obcowanie z ludźmi prerii niewiele pana nauczyło. Powinien senior wiedzieć, że rzadko kiedy udaje się tak naprawdę zbiec komuś, kto pozostawia po

sobie ślady. W każdym razie spać się nie położę, dopóki nie przygotuję się do jazdy, a z nastaniem dnia ruszam na poszukiwania.

Gdy zaczęło świtać, domownicy i służba zebrali się na dziedzińcu. Gerard dokładnie odrysował na papierze pozostawiony w wilgotnej ziemi ślad stopy. Potem zaprowadził przyjaciół na miejsce, gdzie w nocy usłyszał parskanie konia i tętent kopyt.

Poszukiwania trwały niedługo. Po chwili wskazał na wydeptaną trawę w pobliżu wielkiego kaktusa i rzekł:

— Do tego krzewu uwiązany był koń, więc sprawca musiał mieć przy sobie lasso. Przyjrzyjcie się teraz kaktusowi.

Obejrzel go dokładnie. Arbellez nie zauważył niczego szczególnego. Pozostali też nie.

— No tak — uśmiechnął się Gerard. — Myśliwy widzi więcej niż hecjendero lub vaquero. Co to jest, seniores?

Rozsunął nieco liście kaktusa.

— Włos z końskiego ogona.

— Jakiego koloru?

— Carnego. Zdaje mi się jednak, że nie jest to włos karosza.

— Istotnie. Odcień wskazuje na ciemną maść bułanka.

— Szkoda — powiedział Arbellez z ubolewaniem. — Bułanych koni jest przecież wiele. Nie tak łatwo będzie odnaleźć właściciela. Gdybyśmy mieli chociaż ślad podkowy tak jak buta jeźdźca...

— Uważa pan, że nie będzie można jej odtworzyć? — Gerard uśmiechnął się wyrozumiale. — Pojechał przecież na lewo, musiał minąć potok. Tam z pewnością znajdziemy wyraźne odbicie podkowy.

Poszli ku potokowi; istotnie było tak, jak myślał Gerard. Na miękkiej ziemi zobaczyli wyraźne ślady.

— Nareszcie! — ucieszył się Gerard odrysowując ślad podkowy. Teraz mam wszystko. Muszę natychmiast ruszać w drogę.

Wrócił do domu po broń. Po chwili weszła do pokoju Rezedilla, by się pożegnać. Uściskawszy ją gorąco, opuścił hacjendę w towarzystwie vaquerów.

Jechali przez cały dzień galopem. Zatrzymali się dopiero z nastaniem nocy, gdy zapanowały całkowite ciemności.

— Przenocujemy tutaj — postanowił Gerard, zeskakując z konia obok kępy niskich krzewów.

— Czy nic nam nie grozi? — zaniepokoił się jeden z vaquerów. — Niedaleko stąd jest posiadłość seniora Marquesa. Coś mi się wydaje, że ten człowiek tam właśnie się schronił.

— Czyżby? Morderca, wracający z miejsca zbrodni, unika obcych. Dla własnego bezpieczeństwa nie chce nikomu pokazywać swojej twarzy. Wyczytałem ze śladów, że dzieli go od nas mniej więcej godzina drogi. Jego wierzchowiec pada ze zmęczenia. Jutro go dopadniemy.

Rozciągnął się na trawie i natychmiast zasnął.

O świcie ruszyli dalej. Wypoczęte konie pędziły przez równinę jak szalone. Nagle traper gwałtownie osadził swojego.

— Patrzcie — zawołał — jaka tu wygnieciona murawa! Musimy dokładnie przeszukać to miejsce.

Nisko pochylony, krok po kroku, zaczął uważnie badać teren.

— Do krośset! — zawołał po chwili. Gdzie ta posiadłość, o której mówiłeś wczoraj?

— O, tam. Na prawo — vaquero wskazał ręką. — Można by do niej dotrzeć w ciągu dziesięciu minut.

— Ten, którego szukamy, przywiązał tu do tego drzewa bułanka, a sam poszedł pieszo, zapewne do folwarku. Wrócił zaś konno. Swego wierzchowca puścił wolno, a na tym nowym pojechał dalej. Oto jeden ślad kopyt biegnie na północ, drugi prowadzi na południe, a więc w kierunku, w którym jeździec zmierzał poprzednio. Jedźcie za nim wolno! Ja tymczasem zajrzę do siedziby seniora Marquesa.

Już po niecałym kwadransie Gerard wchodził do sieni piętrowego domu. Drzwi od pokoju na lewo były otwarte. Starszy mężczyzna leżał w hamaku i palił fajkę.

— Pan jest właścicielem, senior Marques? — zapytał Gerard, kłaniając się uprzejmie.

— Tak.

— Czy wczoraj sprzedał pan konia? Gospodarz zerwał się z hamaka.

— Nie! Ale mój kasztanek gdzieś przepadł. Szukamy go od rana.

— A może go skradziono?

— Bardzo prawdopodobne.

— Czy to rączy koń?

— Najwspanialszy jakiego mam.

— Do krośset! Ścigam pewnego łotra. Byłem pewien, że dziś rano go dopadnę, bo jechał na byle jakim bułanku. Tymczasem zabrał panu kasztana i...

— Niech to wszyscy diabli!

— Czy pański koń ma jakieś znaki szczególne?

— Tak. Prawą połowę pyska jednolicie białą.

— Dziękuję. Niedaleko stąd znajdzie pan zapewne bułanka, którego złodziej „podaował” panu za kasztana. Bądź zdrow, senior! Nie mam chwili do stracenia.

Pospiesznie opuścił dom i wskoczywszy na konia, ruszył galopem. Wkrótce spotkał vaquerów.

— Musimy pędzić, ile sił starczy — oświadczył. — Ten drań skradł Marquesowi znakomitego wierzchowca. W drogę!

W miarę jazdy Gerard miał coraz bardziej ponurą minę. Po pewnym czasie mruknął:

— Bardziej cwany, niż przypuszczałem.

— Nie spał wcale? — zapytał jeden z vaquerów.

— Ano właśnie. Na tym skradzionym koniu natychmiast pojechał dalej. Ma nad nami przewagę jakichś czterech godzin. Nie dogonimy go przed wieczorem.

I rzeczywiście. Kiedy zbliżali się do Santa Jaga, był już zmrok, a zbiegał ani śladu.

— Nieprawdopodobne, żeby ten łotr zatrzymał się w mieście — zauważył jeden z vaquerów — ponieważ...

— A mnie się wydaje — przerwał mu Czarny Gerard — że właśnie tak, coś mi mówi, że on tu mieszka.

I okazało się, że Gerard ma rację. Tuż przed Santa Jaga spotkali mężczyznę z małym wózkiem ciągnionym przez woła. Zatrzymali konie.

— Dobry wieczór — powiedział uprzejmie Gerard. — Czy dobrze zna pan miasto?

— Jakżeby nie. Urodziłem się tutaj.

— Domyślam się, że idzie pan z północy. Czy wielu ludzi spotkał senior po drodze?

— Nikogo. A dokładnie mówiąc żadnego piechura.

— A jeźdźców?

— Jednego.

— Zna go senior?

— Hm — stary uśmiechnął się chytrze. — Może i znam.

— Mówi pan „może”. Dlaczego?

— Ano, bo wiem, że nie chciał, abym go poznał. Zrobił nawet wszystko, aby mnie ominąć.

— Ale mimo to poznał go pan...

— Tak. Po sposobie trzymania się w siodle. Taką postawę ma tylko jeden człowiek.

— Kto?

Mężczyzna uśmiechnął się znowu.

— Widać bardzo wam zależy, żeby się dowiedzieć. Senior, jestem biedakiem, a każda przysługa wymaga zapłaty.

— To rozumiałe! — Gerard rzucił mu srebrną monetę.

— Dziękuję. To był doktor Hilario. Lekarz z klasztoru della Barbara. O, widzi pan ten budynek górujący nad miastem?

— Lekarz — ucieszył się Gerard. — A może senior zwrócił uwagę na jego konia?

— Tak. To był kasztan. Po prawej stronie pyska miał białą plamę.

— Dziękuję. To właśnie chciałem wiedzieć.

Pożegnali się i Gerard z towarzyszami pojechał dalej. Setki myśli przelatywało przez głowę trapera. Wreszcie zwrócił się do vaquerów:

— Dowiedzieliśmy się bardzo ważnych rzeczy. Jestem pewien, że ten Hilario to nasz niedoszły morderca. Zajedziemy do venty i zatrzymamy się w niej na dłużej.

W PODZIEMIACH KLASZTORU

Doktor Hilario był z siebie bardzo zadowolony. Zrobił to, co zamierzał i wrócił szczęśliwie do domu; tam dotarł z nastaniem zmroku. Nawet mu do głowy nie przyszło, że śledzi go bardzo groźny przeciwnik.

Ponieważ nieobecność stryja przedłużała się, Manfredo był niespokojny. Co jakiś czas podchodził do okna i niecierpliwie spoglądał na bramę klasztorną w nadziei, że zobaczy tego, kogo oczekuje.

— Nareszcie! — wykrzyknął, gdy Hilario wszedł do pokoju. — Powiedz, na miłość boską, gdzie byłeś tak długo?!

— Hm, nie przewidziałem zupełnie, że aż przez dwie noce będę musiał czatować pod hacjendą.

— No i co?

Hilario opowiedział ze szczegółami, jak wykonał zadanie. Manfredo, chociaż od małego nawykły do widoku krwi i przemocy, poczuł się nieswojo.

— Brrr! To okropne! — wstrząsnął się z niesmakiem.

— A niby dlaczego? Każdy człowiek musi umrzeć. Ci w hacjendzie będą mieli najpiękniejszą śmierć, jaką można sobie wyobrazić. Położą się i zasną na wieki bez bólu.

— Jest stryj pewien, że nikt się nie uratuje?

— Na pewno nikt.

— Czyli nie ma już żadnych świadków. No bo reszta wtajemniczonych siedzi u nas pod kluczem!

— To jeszcze nie wszyscy. Z pozostałymi rozprawimy się w stolicy.

— Kiedy wyjeżdżasz, stryju?

— Zaraz. Przynieś mi tylko coś do jedzenia.

— Zaraz? Nie zmęczyłeś się podróżą? — zdziwił się Manfredo.

— Nawet bardzo. Ale straciłem trzy dni. Muszę jechać jak najszybciej! Tym razem będę jednak podróżować nie konno, bo zasnąłbym w siodle, ale w karecie. Niech zaprzęgną do niej przed tylną bramą. Nikt nie może wiedzieć, że opuszczam klasztor.

Podjadłszy sobie, Hilario udzielił bratankowi koniecznych instrukcji. Dopóki nie umilkł odgłos kół, Manfredo stał przed bramą. Potem zamknął ją ostrożnie i udał się do pokoju, aby wziąć klucze. Musiał przecież obsłużyć więźniów. Przechodząc przez frontowy dziedziniec, niespodziewanie natknął się na małego, grubego Arrastra, współnika czy raczej

zwierzchnika doktora.

— Doktor Hilario w domu? — zapytał Arrastro z chytrym uśmiechem.

— Nie. Ach, to pan?

— Stryj wyjechał?

— Przed chwilą.

— Do licha! Dlaczego tak późno?

— Nie mógł prędeż. Przypuszcza jednak, że zdąży na czas.

— Można wejść do jego gabinetu?

— Oczywiście. Przecież tu mieszkam podczas nieobecności stryja.

— Chodźmy więc, ale tak, aby nas nikt nie widział. Chcę z tobą porozmawiać o pewnej ważnej sprawie.

Tymczasem Czarny Gerard i jego towarzysze dotarli do Santa Jaga. Zatrzymali się w najlepszej wencie. Gerard przekąsił coś naprędce i postanowił zasięgnąć na mieście języka o klasztorze. Wychodząc z pokoju po ciemku, bo zgasił świecę łożową, potracił niechcący jakiegoś człowieka na nie oświetlonym korytarzu.

— Ali devils! — syknął poszkodowany.

— Nie moja wina — stwierdził lakonicznie Gerard. — Należy uważać.

— Co? Uważać? Do licha! — wrzasnął tamten i wymierzył Gerardowi policzek tak siarczysty, że traper, choć nie ułomek, aż zachwiał się na nogach.

— Do wszystkich diabłów! — zaklął. — Czy zdajesz sobie sprawę, co zrobiłeś, senior?

Chwycił napastnika lewą ręką za kark, prawą zaś odwzajemnił mu policzek, równie mocny jak ten, który otrzymał. Zwarli się w uścisku bynajmniej nie przyjacielskim. Żaden nie miał przewagi. Walka była więc coraz bardziej zacięta. Towarzyszyły jej zduszone okrzyki: „A masz, a masz! Dobrze ci tak! Jeszcze jeden policzek!” Odgłosy bijatyki rozchodziły się po całym korytarzu. W pewnym momencie otworzyły się najbliższe drzwi; stanął w nich młody człowiek ubrany w bogaty strój meksykański, przyświecając sobie latarką.

— Co się tu dzieje? — zapytał ze zdumieniem, widząc kotłujących się mężczyzn.

— Nic — wychrypiął jeden z nich. — Chcę tylko wymierzyć dziewiąty policzek.

— A ja dwunasty — dodał drugi. Młodzieniec podszedł bliżej.

— Na Boga, Sępi Dziobie! — zawołał. — Co ci zawinił ten senior?! Usłyszawszy przezwisko, Gerard opuścił pięści i zdumiony

w najwyższym stopniu wykrzyknął:

— Co takiego?! Sępi Dziób?! — postąpił krok naprzód. Choć światło latarki było

nikle, nie miał wątpliwości. — To rzeczywiście on! I to jego spoliczkowałem tyle razy.

Sępi Dziób zaczął się przyglądać przeciwnikowi.

— Do stu tysięcy bomb i kartaczy! — ryknął. — Chyba diabeł mnie opętał! To przecież niemożliwe, abym w ciebie walił jak w bęben?! Skąd się tu wziąłeś, Gerardzie?

— Z hacjendy del Erina. A ty?

— Ze stolicy.

Młody człowiek, wyraźnie rozbawiony, wmieszał się do rozmowy.

— To panowie się znają? Niech mi więc będzie wolno zapytać, kim jest ten senior — wskazał na Czarnego Gerarda — i dlaczego, panowie, wybraliście tak oryginalną formę przywitania?

— O, to nic niezwykłego — odparł Sępi Dziób. — Gerard chciał wyjść z pokoju w chwili, gdy szedłem przez korytarz. Uderzył mnie drzwiami w nos. Dałem mu w głowę. On nie został dłużny. I tak zaczęła się ta zabawa w policzkowanie. Jak siebie i jego znam, trwałaby zapewne długo, gdyby nie pojawił się pan z latarką, senior Kurt. Może jednak już w pokoju przedstawię panów.

Wziął Gerarda pod rękę i weszli do pomieszczenia zajmowanego przez Kurta. Tam Sępi Dziób dokonał prezentacji. Pokrótce wyjaśnili sobie, po co każdy z nich przyjechał do Santa Jaga.

— Gdzie mieszka Grandepriise i marynarz? — zapytał Gerard Kurta.

— Mają pokój na dole.

— Szukam pewnego człowieka... doktora Hilaria. Czy znacie klasztor della Barbara?

— Nie. Ale Grandepriise tam był.

— Wybierałem się właśnie na zwiady, mówiąc naszym traperskim językiem.

— Ja także, ale udało ci się pogłaskać drzwiami mój nos — roześmiał się Sępi Dziób.

Gdy tak wesoło rozprawiali, do pokoju zapukał Grandepriise. Był umówiony z Sępim Dziobem, mieli razem obejrzeć klasztor. Zdziwił się, zobaczywszy nieznanego mężczyznę, z którym obaj jego towarzysze byli za pan brat. Kiedy mu wyjaśnili, kim jest Gerard i że mają wspólny cel, ucieszył się:

— Szczęśliwe spotkanie! Doświadczony traper może zastąpić dziesięciu, nawet bardzo dzielnych, mężczyzn. Jestem pewny, że tym razem Cortejo i Landola nam nie umkną.

— Odwiedził pan kiedyś doktora Hilaria? — spytał Gerard.

— Nawet parę razy. Gabinet — nic ciekawego. Kanapa, kilka krzeseł, stół, biurko. Ale jest coś szczególnego... W gablocie wisi bardzo dużo starych kluczy.

— Jakiego typu?

— Nie wiem. W każdym razie nigdzie takich nie widziałem. Są ogromne i w dodatku o dziwnych kształtach.

— Hm, a więc zapewne służą do otwierania niezwykłych drzwi... Jestem przekonany, że znajdziemy w klasztorze to, czego szukamy.

— Ma pan na myśli naszych zaginionych? — upewnił się Kurt.

— Tak. O ile ich nie zabito. A może także dowiemy się czegoś nowego o Corteju i Landoli.

— Na Boga, nie traćmy więc czasu! Musimy znać przyczyny, dla których Hilario wtrąca się w sprawy rodu Rodrigandów. Kto mieszka w klasztorze? — porucznik zwrócił się do Grandepriś'a.

— Spora liczba lekarzy i chorych oraz obsługa. Jeden budynek przeznaczony jest dla chorych fizycznie, drugi dla psychicznie. W trzecim dawniej mieszkali mnisi, teraz jest pusty. W pozostałych budynkach mieści się zarząd szpitala. Ponadto kilka pomieszczeń zajmują pielęgniarze, którzy opiekują się pacjentami.

— Ten stan rzeczy może sprzyjać naszym poczynaniom. A zacząć trzeba od sprawdzenia, czy doktor Hilario jest w domu. Jeden z nas musi pójść do niego.

— Racja — przyznał Gerard. — Ale kto? Ja nie mogę. Należy się liczyć z tym, że zauważył mnie i zapamiętał, kiedy krążył koło hacjendy.

— Grandepriś zmarmotniał:

— I mnie nie wolno się tam pojawiać. Ten szarlatan zna mnie dobrze.

— Ja również nie powinienem iść do niego — dodał Sępi Dziób — ze względu na mój nos. Kto go raz zobaczy, nigdy nie zapomni.

— Niech więc idzie Peters — zaproponował Grandepriś.

— Dlaczego on? — skrzywił się Kurt. — Jest za mało doświadczony, aby powierzać mu tak ważną sprawę. Najlepiej będzie, jeśli ja pójde. Przecież mnie Hilario nigdy nie widział. Oczywiście może mnie asekurować Grandepriś. Jak można się dostać do jego pokoju?

— Przejdzie pan przez podwórze i wejdzie do sieni. Wszystkie pomieszczenia w klasztorze są numerowane. To, które zajmuje doktor, jest na piętrze, naprzeciw schodów i ma numer 25.

— Gdzie wychodzą okna?

— Dwa na boczny dziedziniec, jedno na główny. Pod tym oknem ukryjemy się z Sępiem Dziobem i Gerardem i będziemy czekać na sygnał od pana.

— Możemy więc być spokojni — upewniał się Gerard — że seniorowi Ungerowi nic

złego się nie stanie?

— Tak. Musi tylko zaskoczyć doktora. Nie rozpytywać nikogo na podwórzu, lecz iść prosto do jego mieszkania. Resztę zaplanujemy na miejscu. Gdyby Kurtowi groziło niebezpieczeństwo, zawezwie nas umówionym sygnałem. No, chodźmy!

Wziąwszy broń, opuścili ventę i ruszyli na wzgórze klasztorne.

Z daleka dobiegło ich dudnienie powozu; po chwili minął ich i znikł za zakrętem. Skąd mogli wiedzieć, że siedzi w nim człowiek, którego szukali?

Kiedy doszli do klasztoru, Grandepriese wskazała oświetlone okna pokoju Hilaria.

Brania była otwarta, bez przeszkód więc dostali się na dziedziniec. Kurt szybko go przebiegł i cicho wszedł do sieni, jego towarzysze zaś ukryli się, jak było umówione, pod oknem. W pewnym momencie usłyszeli zbliżające się kroki. Jakiś niski, gruby jegomość przeszedł tuż koło nich i na środku podwórza spotkał się z drugim, wyższym i szczuplejszym. Byli to — jak można się domyślać — Arrastro i Manfredo. Przywitali się i razem skierowali do tych samych drzwi, w których przed chwilą zniknął porucznik.

Tymczasem Kurt wszedł bez pukania do pokoju opatrzonego numerem 25. Palila się tam lampa, ale nie było żywej duszy. Rozejrzał się i dostrzegł lekko uchylone drzwi do drugiego pomieszczenia. Na palcach wślizgnął się do niego. Mimo panującego tu mroku rozpoznał, że to sypialnia. I tu nie zastał nikogo. Zastanawiał się co robić dalej, gdy usłyszał, że ktoś nadchodzi. Cichutko przymknął drzwi, pozostawiając sporą szparę. Niemal wstrzymując oddech, obserwował przez nią, co dzieje się w gabinecie doktora. Weszło tam dwóch ludzi: starszy wiekiem grubas i młodzieniec o prymitywnej powierzchowności.

Grubas rozparł się wygodnie na krześle, odsapnął i zapytał młodego:

— A więc twój stryj odjechał dopiero niedawno? Nie wiesz, dlaczego tak przedłużył poprzednią podróż?

— Nie wiem.

Obrzucił młodzieńca ostrym spojrzeniem i ciągnął dalej:

— Jesteś jedynym krewnym doktora Hilaria, co?

— Tak, jedynym.

— I mogę przypuszczać, że ma do ciebie zaufanie, prawda?

— Istotnie.

— Dziwi mnie więc, że ci nie powiedział, co mu przeszkodziło wykonać na czas moje polecenie.

— Nie pytałem o to.

— Czy orientujesz się, po co stryj wyjechał do stolicy?

— Ma się postarać, aby Maksymilian nie opuścił Meksyku razem z Francuzami. Idzie o to, by cesarz wpadł w ręce Juareza. Ten go osądzi i skaże na śmierć — wyrecytował Manfredo.

— Doskonale! Juarez morderca straci wpływ na społeczeństwo. W ten sposób pozbedziemy się i cesarza, i prezydenta. Zdobędziemy władzę. Twój stryj otrzymał ściśle instrukcje. Spotka się z Maksymilianem nie w stolicy, lecz w Queretaro. Mam nadzieję, że wszystko pójdzie dobrze. Ale licho nie śpi i może pokrzyżować nam plany. Na przykład znajdą się jacyś przyjaciele, cieszący się zaufaniem cesarza, i przekonają go, że nie ma już co liczyć na niczyją pomoc i że liczba jego zwolenników zmalała do zera. Wtedy Maksymilian zdecyduje się na natychmiastowe opuszczenie kraju. Dlatego trzeba go przekonać, że lud Meksyku go popiera.

— Nie będzie to łatwe.

— To zależy. Nie szczędziłem zabiegów, aby cesarz się dowiedział, że jego zwolennicy wznieśli powstanie na tyłach wojsk Juareza i co ważniejsze, że tu i ówdzie odnieśli zwycięstwa. Jutro na przykład wybuchnie bunt w kilku miejscach na raz, a najgroźniejszy będzie w Santa Jaga. Te fakty na pewno spowodują, że Maksymilian nie opuści Meksyku, a wtedy czeka go niechybna śmierć.

— U nas ma wybuchnąć powstanie?! — zawołał Manfredo. — Co też pan opowiada! Przecież tu mieszkają sami zwolennicy Juareza!

— Pni! Zwerbowałem dwustu dzielnych mężczyzn. Jeszcze dziś w nocy przybędą do Santa Jaga i opanują miasteczko.

— Ludność ich przepędzi.

— Skądże znowu! Ten klasztor to prawdziwa forteca nie do zdobycia, a oni właśnie tu się obwarują. Obywatele miasta nawet pary z ust nie puszczą i poddadzą się powstańcom, gdy tylko zobaczą chorągwie cesarskie powiewające na najwyższym budynku klasztoru i na murach. Powstanie w Santa Jaga będzie dla twego stryja najlepszym atutem w rozmowach z Maksymilianem.

— Czy stryj wie o tym, co ma się tu wydarzyć?

— Nie. Podczas naszej ostatniej rozmowy sam o tym nie wiedziałem. Moje instrukcje będą na niego czekać w Queretaro.

— Czy ci powstańcy to żołnierze?

— Hm, można by ich tak nazwać. W każdym razie są dobrze uzbrojeni i wszystko mi jedno, komu służą.

— Kiedy można się ich spodziewać?

— Dziś po czwartej zjawia się u stóp wzgórza, na drodze prowadzącej do klasztoru. Ty ich tu przyprowadzisz.

— Skąd pewność, że pójda za mną?

— Powiesz im tylko jedno słowo—hasło: „Miramar” i wręczysz tę oto kartkę dowódcy.

— Czy pan pozostanie tu z nami?

— Nie. Natychmiast muszę wyjechać. W tej samej sprawie zresztą. Jeżeli będziesz równie wierny jak stryj, nie ominie cię nagroda. A więc do widzenia i dobranoc.

— Odprowadzę pana do bramy — rzekł Manfredo, chowając papier. — Może być już zamknięta.

Ledwie opuścili pokój, Kurt wyszedł z sypialni. Pospieszył do okna, otworzył je i zapytał półgłosem:

— Jesteście?

— Oczywiście — równie cicho odpowiedział Gerard. — Co nowego?

— Doktor wyjechał. Wszystko w porządku. Czekać dalej spokojnie. Teraz ukryjcie się. Zaraz ktoś będzie przechodzić obok was.

Zaniknął okno i wrócił do sypialni. Po kilku minutach Manfredo zjawił się w gabinecie i pogrążony w rozmyślaniach, zaczął chodzić od ściany do ściany.

Kurt miał początkowo zamiar natychmiast rzucić się na niego, obezwładnić i zmusić do wyjawienia prawdy. Ale chłopak podszedł do gabloty i wyjął z niej kilka kluczy. Ta okoliczność wpłynęła na zmianę planu porucznika.

Bratanek Hilaria schował klucze do kieszeni, zapalił latarkę i wyszedł z pokoju, nie zamykając drzwi. Kurt wymknął się zaraz po nim, wzięwszy ze stojącego na biurku kandelabra jedną z płonących świec i wyciągnąwszy nóż. Manfredo zaczął iść po schodach prowadzących do podziemi, Kurt za nim w bezpiecznej odległości. Przezornie zgasił świecę. Latarka dawała nikłe światło, posuwał się więc prawie po omacku. W każdej chwili mógł się potknąć, zaczepić o coś ostrogami i wywołać hałas. Dlatego też zatrzymał się na chwilę i zdjął buty. Po czym na palcach pobiegł za Manfredem, by go nie zgubić w ciemnościach. Manfredo otwierał jedne drzwi po drugich i pozostawiał je nie zamknięte. Widać wiele razy przechodził tędy, bo szedł pewnie i swobodnie. Minał wiele cuchnących wilgocią korytarzy, aż wreszcie zatrzymał się przed jednymi z kilkorga widniejących w ścianie drzwi. Odsunął dwa mocne, żelazne rygle i wszedł do środka.

Kurt nie wiedział, czy to kolejny korytarz, czy więzienna cela. W pierwszym przypadku należałoby iść dalej, w drugim nie ruszać się z miejsca. Zaczął nasłuchiwać. Dobiegły go odgłosy jakiejś rozmowy. A więc to cela. Podkradł się na palcach bliżej,

wychylił nieco głowę i ujrzał czworoboczne pomieszczenie; do ścian przykuci byli ludzie. Manfredo stał pośrodku, latarkę umieściwszy w kącie. W skąpym świetle trudno było odróżnić rysy twarzy więźniów.

— Ma pan tylko jedną drogę ratunku — mówił bratanek Hilaria.

— Jaką? — zapytał ktoś spod ściany.

— Wie pan chyba, hrabio Fernando, że zamknięty tu Mariano jest prawdziwym pana bratankiem, zaś człowiek, który przywłaszczył sobie imię hrabiego Alfonsa, synem Gasparina Corteja?

— Wiem.

— A więc stawiam dwa warunki. Jeżeli je pan spełni, wszyscy odzyskają wolność.

— Słucham. Manfredo ciągnął dalej:

— Przede wszystkim złoży pan deklarację, że Alfonso jest oszustem i każe go wraz z rodziną ukarać.

— Takie oświadczenie jestem gotów podpisać w każdej chwili.

— Ale to nie wszystko. Mariano musi zrezygnować z tytułu hrabiego, a pan potwierdzić, że to ja jestem chłopcem, którego porwano, a więc autentycznym pana bratankiem.

Hrabia Fernando milczał.

— Odpowiadajże pan! — wybuchnął Manfredo.

— Ach tak — uniósł się Fernando — chcesz zostać hrabią i nosić nazwisko rodu Rodrigandów?!

— To mój warunek — odparł zapytany z beczelną szczerością.

— Nigdy się na to nie zgodzę.

— W takim razie nikt z was nie ujrzy światła dziennego! Daję panu pół godziny do namysłu. Jeżeli po upływie tego czasu nie powie pan „tak”, od jutra nie będziecie otrzymywać żadnych posiłków i wszyscy umrzecie śmiercią głodową.

— Bóg nas ocali.

— Don Fernando, niech pan nie rozmawia z tym młokosem! — z głębi celi dobiegł męski głos.

— Co?! — krzyknął Manfredo. — Ośmielasz się, doktorze, nazywać mnie młokosem?!

Podszedł do Sternaua, skutego łańcuchem i zamierzył się, nie zdążył jednak uderzyć. Ktoś chwycił go za ramię. Odwrócił się przerażony i ujrzał parę błyszczących oczu oraz lufę rewolweru wymierzoną w siebie.

— Kto tu? — wybełkotał w osłupieniu.

— Zaraz się dowiesz! — odpowiedział Kurt. — Na kolana! — Powalił go na ziemię.
— Chodź, młokosie, nałożymy ci obrozę, abyś nie uciekł!

Odwinął łąso, które miał przypasane do biodra i związał Manfreda. Bratanek Hilaria nie miał przy sobie bronii, do tego sparaliżował go strach. Nie stawiając najmniejszego oporu, pozwolił się skrepować.

Uradowany Kurt, odetchnąwszy, zawołał:

— Chwała Bogu! Nareszcie się udało! Jesteście wolni!

— Wolni? — jak echo powtórzyło za nim kilka głosów. — Kim jesteś, senior?

— O tym później. Przede wszystkim muszę was wydostać z tej śmierdzącej nory. Możecie chodzić?

— Tak — zapewnił w imieniu wszystkich Sternau.

— Jak otworzyć wasze łańcuchy?

— Małym kluczykiem, który ma przy sobie ten człowiek. Kurt obszukał Manfreda i rzeczywiście w jego kieszeni znalazł ów kluczyk. Kiedy uwolnił ich z więzów, chcieli go uściskać ze szczęścia.

— Zaczekajcie z podziękowaniami. Przyjdzie na to pora. Czy są tu gdzieś jeszcze inni więźniowie?

— Nie. Wszystkich nas zamknięto w tej jednej celi — znów odpowiedział Sternau.

— Mnie się zaś wydaje, że muszą tu być również obaj bracia Cortejowie, Josefa i Landola.

— Czyżby? Ale jeśli tak, to chwała Bogu!

— Sprawdzę to później. A teraz chodźmy już na górę! Odebrał Manfredowi wszystkie klucze i latarkę, przeniósł go w najdalszy kąt i tam rzucił jak tłumok. Wyprowadził wszystkich na korytarz, zaryglował drzwi celi i ruszył na czele gromadki. Szli wolno, niektórzy bowiem, osłabieni i wyczerpani, słaniali się na nogach.

Kiedy znaleźli się na początku długiego korytarza, prowadzącego już na schody. Kurt przystanął, zapalił świecę, którą wziął z pokoju Hilaria i umocował ją na belce. W jej blasku i w świetle latarki mógł już rozpoznać poszczególne osoby. Sternau wziął go za rękę i poprosił:

— Możemy tu odpocząć, senior? Powiedz nam wreszcie, kim jesteś?!

— Dobrze — porucznik z trudem hamował wzruszenie. Przyjrzał się dokładnie brodatym twarzom i podszedł do kapitana Ungera. Ujął jego dłonie i spytał: Czy starczy ci sił do wysłuchania prawdy?

— Tak.

Kurt rzucił mu się na szyję i wykrzyknął radośnie:

— Ojcie drogi, kochany ojcie!

Kapitan oniemiał z wrażenia. Początkowo biernie przyjmował pocałunki i uściskał syna i dopiero po chwili, gdy zrozumiał, że to nie sen, zaczął mu je odwzajemniać, ale słowa nie mógł wykrztusić. Inni też milczeli.

— Kurt? Kurt Unger?

— Tak, wuju Karolu, to ja! Niechże i ciebie uściskam!

— Mój Boże, co za szczęście! — zawołał doktor. — Potem nam opowiesz, jakim cudem wpadłeś na nasz ślad i jak ci się udało nas uratować. Teraz tylko jedno pytanie: co w Reinswalden?

— Wszyscy żyją i są zdrowi.

Sternau, zawsze tak opanowany, sprawiający wrażenie zimnego i nie poddającego się emocjom człowieka, padł na kolana i zaczął się głośno modlić:

— Dzięki ci, wielki Boże, żeś znowu nas uratował. Jeżelibym o tym kiedykolwiek zapomniał, odtrąć mnie, gdy martwą ręką będę pukał w bramy niebieskie.

Po chwili ktoś mocno uściśnął Kurta. Był to Piorunowy Grot.

— Ach, to ty, stryju! — porucznik odwzajemnił uścisk. Pozostali również dziękowali wybawcy.

— Czy to możliwe, byś był tu sam? — zapytał zawsze skrupulatny Sternau.

— W budynku tak, ale na dziedzińcu są moi przyjaciele: Czarny Gerard, Sepi Dziób i Grandepriise. Chodźmy więc na górę. Niebezpieczeństwo nie minęło. Kto wie, czy ten szatan Hilario nie ma współników. Musimy zachować jak największą ostrożność.

Kurt podtrzymał ojca prawą ręką, a latarkę trzymał w lewej. Pozostali szli za nimi, na samym zaś końcu Sternau. Zawsze o wszystkim pamiętający, zawsze opanowany, teraz też wziął klucze od Kurta i zamykał dokładnie każde drzwi, przez które przechodzili. Zrobiło się już bardzo późno. Klasztor pogrążony był we śnie. Toteż nie zauważeni przez nikogo dotarli do gabinetu doktora Hilaria.

Paliło się tu światło. Było cicho i przytulnie. Poczuli się więc całkowicie bezpieczni. Potoczyła się żywa rozmowa. Kurt został zasypany mnóstwem pytań. Kiedy już pierwsza ciekawość została zaspokojona, Sternau zapytał:

— Gdzie są ci trzej traperzy, o których mówiłeś?

— Zaraz ich zawołam.

Otworzył okno i wychylił się. Przez chwilę wzrok jego oswajał się z ciemnością. Starł się wypatrzeć przyjaciół.

— Gerard! — powiedział półgłosem. — Chodźcie tutaj! Wszystkie drzwi pozamykane, wejdźcie więc po kolei przez okno. Pomogę wam.

Gerard rzucił łąso, Kurt je złapał i wraz z Piorunowym Grotem, Sternauem i dwoma Indianami trzymał ze wszystkich sił. Po chwili trzej kompani porucznika byli już w pokoju. Na twarzach ich odmalował się wyraz niekłamanezo zdziwienia.

— Do licha! — zaklął Sępi Dziób. — Co za niespodzianka! To przecież oni!

— Tak, we własnych osobach — roześmiał się Sternau. — Jesteśmy wam niezmiernie wdzięczni, że zainteresowaliście się naszym łąsem.

— Drobiazg! Ale, do stu piorunów, nie kalkuluję, jak się udało temu młodzieńcowi wyciągnąć was z tych kazamatów bez naszej pomocy?!

— Wyjaśnienia zostawmy na później — rzekł Kurt. — Zostańcie tutaj i zaopiekujcie się naszymi przyjaciółmi. Nie wiadomo, co się tu jeszcze będzie działo, a oni nie mają broni. Wuju Karolu, czy myślisz, że mieszkańcy klasztoru, poza oczywiście Manfredem, są sprzymierzeńcami Hilaria?

— Nie sądzę.

— Muszę się o tym jak najszybciej przekonać — nie zważając na prośby towarzyszy, by choć jednego wziął ze sobą, wybiegł ze świecą w rękę.

Po chwili zszedł po schodach na główny dziedziniec. W nikłym blasku łąjówki dostrzegł przejście na drugie podwórze. W jednym z okien w suterenie świeciło się. Kiedy tam wszedł, zobaczył na uchylonych drzwiach izby napis: „Pokój meldunkowy”. Bez pukania wślizgnął się do środka.

Jakiś człowiek, zapewne dyżurny, zerwał się z krzesła i zawołał:

— Czego pan chce? Jak się pan tu dostał?

— Spokojnie, dlaczego się pan denerwuje? Nie przychodzę w złych zamiarach. Proszę mi tylko powiedzieć, kto podczas nieobecności Hilaria, a wiem, że nie ma go w klasztorze, opiekuje się chorymi?

— Jeden z dwóch pozostałych lekarzy.

— Który z nich ma dzisiaj dyżur?

— Senior Manucio.

— Niech go pan zbudzi natychmiast!

— Wolno mi budzić lekarzy tylko w ważnych sprawach.

— Ta jest naprawdę bardzo ważna. Proszę zameldować cudzoziemca, oficera.

Dyżurny wyszedł. Wrócił po chwili i zaprowadził Kurta do lekarza. Doktor, wyrwany ze snu, był w nie najlepszym humorze.

- Co takiego się wydarzyło — burknął — że niepokoi mnie pan po nocy?
- Bardzo wiele. A i pan może mieć z tego powodu poważne nieprzyjemności.
- Ja?! Senior, nie jestem usposobiony do żartów!
- Ja również nie. Przyszedłem, by wezwać pana do chorych.
- To mój obowiązek. Ale co się kryje za tym, co pan powiedział przed chwilą?
- Czy niecna, ba, zbrodnicza, działalność doktora Hilaria jest panu znana?
- Kim pan jest?! O czym i jakim prawem tak pan mówi?
- Niech pan posłucha!

Kurt zrelacjonował pobieżnie historię oswobodzenia więźniów. Zdziwienie lekarza było ogromne i nie udawane. Porucznik nie miał wątpliwości, że lekarz nie należy do szajki Hilaria.

Doktor ubrał się pospiesznie i poszedł z Kurtem do mieszkania Hilaria. Na widok zebranych tu osób jeszcze bardziej wzrosło jego zdumienie.

— Oto lekarz z tutejszego szpitala — porucznik przedstawił go zebrany. — Jak pan widzi, panie doktorze, naprawdę potrzebujemy pańskiej fachowej pomocy. Przede wszystkim większego pomieszczenia, jedzenia i opieki nad chorymi — wskazał na nieprzytomnego don Fernanda, leżącego na kanapie.

Doktor, już bez zbędnych słów, zabrał się do roboty. Z pomocą Kurta i traperów przetransportował byłych więźniów Hilaria do czystej szpitalnej sali, kazał pielęgniarzom przygotować im kąpiel, rozdać odzież. Następnie wszyscy zasiedli do sutej kolacji. W pewnym momencie Sternau podniósł się z krzesła.

— Drodzy przyjaciele — powiedział — myślę, że to nie koniec naszych kłopotów, choć, co najważniejsze, jesteśmy wolni. Czeką nas jeszcze sporo do zrobienia. Czuję się już znakomicie, więc pozwólcie, że opuszczę was z Kurtem.

Bawole Czoło i Niedźwiedzie Serce, choć bardzo osłabieni, chcieli iść razem z doktorem, na jego prośbę pozostali jednak w szpitalu. Grandepriise i Sępi Dziób nie dali się na to namówić.

— Jesteśmy zdrowi — mówili chórem — i na pewno wam się przydamy.

Zaopatrzywszy się w broń, wszyscy czterej udali się do podziemi. Tam odszukali Manfreda. Mocno związany leżał w kącie celi, w której zaniknął go Kurt.

Był to tchórz. Widząc, że przegrał, chciał ratować własną skórę, zwalając wszystko na Hilaria.

— Jestem niewinny, senior, zupełnie niewinny! — biadolił. Musiałem słuchać stryja.

— To cię nie usprawiedliwia! — huknął Sternau. — A teraz odpowiadaj na pytania.

Tylko bez kłamstw i wykrętów. Dlaczego nas uwięziliście?

— Ponieważ miałem zostać hrabią Rodrigandą.

— Co za bezczelność! Gdzie są rzeczy, które nam zabraliście?

— Tutaj, w mieszkaniu stryja. Tylko wierzchowce zostały sprzedane.

— Oddasz wszystko, co do jednej sztuki.

— A czy wiesz — włączył się do przesłuchania Kurt — gdzie są zamknięci

Cortejowie i Landola?

— Wiem.

— Zaraz nas do nich zaprowadzisz.

— Czy dobrze znasz — znów pytał Sternau — podziemne przejścia w klasztorze?

— Tak. W dodatku u stryja w biurku leży plan całego podziemia.

— Dasz go nam. Czy są jakieś ukryte wyjścia?

— Poza obręb klasztoru? Jest jedno.

— Dokąd prowadzi?

— Do kamieniołomów położonych we wschodniej części miasta.

— Mamy je ochotę zwiedzić. Będziesz naszym przewodnikiem.

— Zrobię wszystko, co każecie.

— Nie wątpię — w głosie Kurta zabrzmiała pogroźka. — A teraz mów: Gdzie jest twój stryj?

— Pojechał do Meksyku albo do Queretaro, do cesarza.

— Po co?

— Aby go powstrzymać od... od wyjazdu z Meksyku.

— To już słyszałem. Z kim rozmawiałeś wczoraj wieczorem? Manfredo przeraził się jeszcze bardziej. Skąd o tym mogli wiedzieć?

— Z seniorem Arrastro — odpowiedział potulnie. — Przychodził on nieraz do stryja z instrukcjami i rozkazami.

— Z czyjego polecenia?

— Podziemnej organizacji. Nic więcej o niej nie wiem.

— Hm, czy stryj przyjmował innych przedstawicieli tajnych partii?

Manfredo milczał.

— Jeżeli nie odpowiesz — Sternau podniósł głos — każę cię wychłostać! Inaczej sformułuję pytanie: czy twój stryj otrzymywał jakieś pisemne informacje od tych partii?

— Owszem.

— Gdzie je przechowuje?

— W specjalnej skrytce w pewnej celi.

— Wskaż nam ją! Póki co — dodał Kurt, sięgając do kieszeni Manfreda — zabiorę instrukcje, które poczciwy bratanek zanego stryja dostał dziś od grubasa. A teraz wstawaj, łotrze! Idziemy do Cortejów i Landoli.

Sternau rozluźnił nieco więzy, tak że Manfreda mógł się poruszać. Sępi Dziób i Grandepriese nie spuszczały go z oczu.

Kiedy zatrzymali się przed celą, wskazaną przez Manfreda, Kurt otworzył drzwi. Światło latarki rozjaśniło nieco ciemne pomieszczenie. W głębi lochu, pod ścianą, zobaczyli cztery skulone postacie.

— Czy przyszedłeś, by nas wreszcie wypuścić, plugawcze? — rozległ się ochryply głos Gasparina Corteja.

— Ciebie wypuścić, kanalio?! — zawołał Grandepriese podchodząc do niego z latarką. Cortejo wlepił w niego wzrok.

— Grandepriese! — jęknął przerażony.

— Tak, to ja. Wreszcie mam i ciebie, i twojego braciszka, i mojego najdroższego przyrodniego brata! Tym razem nie wyprowadzicie mnie w pole, nie wystrychniecie na dudka!

— Jak się pan tu dostał? — zapytał Gasparino. — Czy staruch zatrudnił seniora na miejsce Manfreda? Pozwól nam uciec, a w nagrodę dam milion dolarów.

— Milion? Ty draniu i kłamco! Nie masz przecież ani grosza. Zabiorę ci wszystko, nawet twoje nędzne życie!

— Nie zrobiłem przecież nic złego!

— Nic złego, szubrawcze?! Zapytaj mojego przyjaciela! Grandepriese oświetlił latarką stojącego przy drzwiach Sternaua.

Cortejo poznał go od razu.

— O Boże! Sternau! — wrzasnął, jakby zobaczył ducha.

Pablo Cortejo i Josefa także spojrzeli w tamtą stronę i zdrętwieli z przerażenia.

— Wolny?! — syknęła Josefa. — Jak to może być?!

— A więc ten szatan nas oszukał! — jęknął Landola. — Niech go piekło pochłonie!

— Pierwej was to spotka — powiedział Sternau zbliżając się do nich. — Tak, oszukałem was. Już nie umkniecie sprawiedliwości. Opuśćcie to miejsce tylko po to, by stanąć przed sądem i ponieść zasłużoną karę.

— Phi! — zawołał pogardliwie Landola. Kto nas zmusi do przyznania się?

— To jest zbyt cenne. Ale gdyby co, znajdzie się sposób, by zmusić was do mówienia.

Po tej wymianie zdań nasi przyjaciele opuścili celę. Kurt zamknął ją na cztery spusty.

— A teraz pokażesz nam plan podziemi — zwrócił się Sternau do Manfreda.

Bratanek nie oszukał ich. W biurku Hilaria znaleźli doskonały przewodnik po skomplikowanych korytarzach i zakamuflowanych przejściach klasztoru. Później Manfredo zaprowadził ich do pomieszczenia, gdzie doktor przechowywał tajne papiery. Była to ta sama cela, w której seniorita Emilia sporządzała niegdyś odpisy. Sternau rzucił tylko okiem na dokumenty, natomiast dokładnie zaczął badać zawartość licznych skrzyń i kufrów. Przy tej okazji odkrył szkatułkę, a w niej drogocenne klejnoty, które wcześniej wywołały zdumienie Emilii. Przyglądając się im, zapytał:

— Do kogo to należy?

— Do mego stryja — szepnął Manfredo.

— Czyżby? Jak je zdobył? — zainteresował się Grandepriese.

— Nie mógł znaleźć właściciela.

— Znajdziemy go, znajdziemy w odpowiednim czasie. A teraz przespacerujemy się do tajnego wyjścia z klasztoru — powiedział Sępi Dziób.

Po dziesięciu minutach doszli do końca korytarza, zamaskowanego kopcem kamieni. Usunęli je bez wielkiego trudu. Przez otwór mogło swobodnie przejść kilka osób naraz.

— A gdyby tak wprowadzić tędy owych dwustu żołnierzy — rzekł Kurt do Sternaua po niemiecku, nie chcąc, aby Manfredo zrozumiał ~ o których mówił Arrastro?

Odeszli na bok, aby swobodnie porozmawiać.

— Gdzie miał na nich czekać Manfredo? — spytał Sternau.

— U podnóża góry przy drodze do klasztoru. Co robić, wuju Karolu, aby temu przeszkodzić? To przecież nasz obowiązek wobec Juareza, a także cesarza.

— No i wobec obywateli miasteczka. Żołnierze, których się spodziewamy, to bez wątplenia zbójce i rabusie najgorszego autoramentu.

— A więc co radzisz? Czy wtajemniczać mieszkańców. A jeśli ktoś zdradzi?

— Niestety, ze zdradą należy się liczyć. Musimy więc oprzeć się tylko na własnych siłach. Powitasz żołnierzy zamiast Manfreda?

— Oczywiście.

— Są zapewne przekonani, że wjadą do klasztoru przez główną bramę...

— Powiem im, że niestety to niemożliwe, bo Juarez widać się czegoś dowiedział i wysłał do klasztoru niewielki oddział wojska.

— Doskonale! Zrozumieją więc, że bez walki nie dostaną twierdzy...

— I że — wpadł mu w słowo Kurt — wszedłszy ukrytym wejściem, obezwładnią

załogę bez trudu.

— No dobrze. A co potem? Będą ich przecież dwie setki i w dodatku dobrze uzbrojonych — wtrącił Sępi Dziób.

Sternau zamyślił się.

— Mam pewien pomysł — powiedział po chwili. — Doktor Hilario obezwładnił nas przecież jakimś proszkiem...

— A czy można go zastosować wobec tak wielkiej liczby ludzi? — wątpił Kurt.

— Dlaczego nie? — ożywił się Sępi Dziób. — Przypuśćmy, że znajdziemy taki korytarz, w którym zmieści się, w szeregu, dwustu żołnierzy, i do tego będzie zamknięty drzwiami z jednego i drugiego końca. Wcześniej rozsypimy proszek na całej długości. A potem zapalimy z obu stron, jak zrobił to Hilario i uciekniemy. A oni znajdą się w potrzasku. Bo to płonące i dymiące świństwo na pewno rozejdzie się po całym korytarzu.

— Hm. Plan jest oczywiście wykonalny — powiedział po zastanowieniu Sternau — ale czy znajdziemy ten proszek? — Podeszedł do Manfreda i zapytał: — Kto przyrządził to paskudztwo, którym nas obezwładnił twój stryj?

— Właśnie on.

— Czy ten proszek reaguje na wilgoć?

— Nie. Przechowujemy go w piwnicy, a tam jest wilgoć.

— Jak się pali?

— Bardzo łatwo.

— Dużo go macie?

— Małą beczułkę.

— Pokażesz nam ją.

Wracali tą samą drogą. Obserwowali uważnie korytarze, już pod kątem zamierzonego planu. Sternau rzekł do Kurta:

— Długość jest odpowiednia.

— Tak. Zmieszczą się tu wszyscy. Musisz jakoś dać mi znać, że wszedłeś do korytarza i podpalasz proszek, abym zrobił to jednocześnie z tobą.

— Po prostu zawołam głośno „Manfredo”, że niby mam ci coś do powiedzenia. Dla żołnierzy będziesz przecież bratankiem Hilaria.

— Ale, ale wuju Karolu, nie pomyśleliśmy o koniach — zafrasował się Kurt. — Oni przecież na pewno będą mieli konie.

— Poradzisz im, aby zostawili je pod opieką kilku kolegów. Na pewno na to przystaną.

Doszli do małej, niskiej piwniczki. Stała tam mniej więcej piętnastolitrowa beczułka, do połowy wypełniona miałkim, bezwonny, ciemnobrązowym pyłem.

— To właśnie ten proszek — powiedział Manfredo i wycofał się na korytarz.

W środku został Sternau i Kurt.

Spróbujmy — zaproponował doktor.

Wziął do ręki szczyptę proszku i rozsypał ją na wilgotnej ziemi. Potem cofnął się kilka kroków i rzucił na to miejsce mały kawałek płonącego knota. W jednej chwili pojawił się na ziemi żółtosiny płomień i niemal równocześnie poczuli tak okropny smród, że obydwaj co sił w nogach wybiegli z piwnicy.

— Wszystko pójdzie dobrze — powiedział Kurt. — Nie mamy tu już nic do roboty.

Przed piwniczką czekali na nich Sępi Dziób i Grandeprise.

Odprowadzili Manfreda do celi. Kiedy szli na górę, Sternau zwrócił się do Sępiego Dzioba:

— Słyszałem, że przybył senior ze stolicy, gdzie jest teraz główna kwatera Juareza?

— W Zacatecas. Wszystkie miejscowości, położone na północ od tego miasta, są również obsadzone przez jego wojska.

— A jak się nazywa najbliższa, w której stacjonują?

— Nombre de Dios. Dobry jeździec może tam dotrzeć w ciągu nocy.

— A pan?

— Do licha! Sępi Dziób miałby nie dojechać? Zupełnie tak, jak gdyby tytoń, który żuję, nie umiał znaleźć mojej gęby, gdy poczuje nań ochotę!

— Pojedzie więc pan?

— Z najwyższą przyjemnością. Chodzi zapewne o tych dwustu ananasów, których zamierzamy uwięzić w podziemiach?

— Tak. Złoży pan komendantowi raport i poprosi o przesłanie odpowiedniej liczby żołnierzy.

— Dobrze. Przed południem wrócę.

— Martwię się tylko czy panu uwierzą. — wtrącił Grandeprise.

— Niech pana o to głowa nie boli. Przejeżdżałem przez to miasteczko z seniorem Kurtem i odwiedziliśmy komendanta. A zresztą zna mnie osobiście. Byliśmy razem nad Rio Grandę podczas spotkania Juareza z lordem Drydenem. Miał wówczas stopień podporucznika, dziś jest majorem. W tym kraju ludzie awansują błyskawicznie. A więc idę do wenty po konia. Za dziesięć minut ruszam w drogę!

Była już noc, gdy Sternau wrócił do towarzyszy, odpoczywających w szpitalnej sali.

Zdał im pokrótce relację z tego, co razem z Kurtem odkrył w klasztorze i co zamierzają robić. Niemal wszyscy zaoferowali natychmiastową pomoc. Podziękował serdecznie, ale stanowczo odmówił.

— Nasz plan unieszkodliwienia owych dwustu zbirów — uzasadnił — wymaga tylko dwóch osób. W przeciwnym razie, mógłby się nie powieść. Będziecie mi natomiast potrzebni w końcowej fazie akcji. Nad ranem. Wtedy na pewno zwrócę się do was.

Niedawni więźniowie — z wyjątkiem hrabiego Fernanda, który leżał w łóżku — czuli się stosunkowo nieźle, byli pogodni i weseli. Do ich beztróskiego nastroju przyczynił się niewątpliwie personel szpitalny, okazujący im uprzejmość i życzliwość. Nikt z tego zespołu nie mógł wprost uwierzyć, że to, co opowiadali byli jeńcy, jest prawdą. Dla Sternaua i jego towarzyszy nie ulegało natomiast wątpliwości, że lekarze i pielęgniarze, a także służba klasztorna nie mają nic wspólnego ze zbrodniczą działalnością doktora Hilaria.

Sternau niewiele spał tej nocy. Około czwartej zszedł do podziemi. Miał dosyć czasu, by rozsypać proszek na korytarzu. W pół godziny później opuścił klasztor Kurt. Wyszedł przez otwartą bramę i schodził w dół szosą prowadzącą do miasteczka. Gdy znalazł się u podnóża góry, zaczął nasłuchiwać. Nagle ktoś krzyknął mu nad uchem tak głośno, że niemal podskoczył:

— Halo! Kto tam?

— Przyjacieli! — odrzekł.

— Hasło?

— „Miramar”

— W porządku. Czekamy na ciebie. Chodź ze mną.

Ujął porucznika pod ramię i poprowadził. Przeszli spory szmat drogi. Mimo ciemności Kurt zaczął rozpoznawać sylwetki ludzi i koni. W pewnym momencie zatrzymali się. Ktoś podszedł do nich i zapytał:

— Macie go?

— Tak, jest tutaj, pułkowniku.

Ten, którego tak tytułowano, zwrócił się do Kurta:

— Kim jesteś?

— Nazywam się Manfredo, jestem bratankiem doktora Hilaria.

— To mi wystarczy. Czy brama klasztoru otwarta?

— Nie. Zmyto by mi głowę, gdybym otworzył.

— Zmyto by? Kto miałby to zrobić?

— Komendant.

— Jaki komendant? Nic mi o tym nie wiadomo!

— Tak też myślałem. Te łotry zagnieździły się na górze dopiero o północy.

— Jakie łotry?

— No, ludzie Juareza. Jest ich pięćdziesięciu. Zdaje się, że zwąchali pismo nosem, bo dowódca pytał z ironią w głosie, czy dzisiejszej nocy nie spodziewamy się jeszcze jakiejś wizyty.

— Aha! Domyślają się czegoś. Ale kpinami nic nie wskórają. Przetrzepiemy tym łotrom skórę!

— Oby się powiodło, senior. Ale jak sforsujecie mury i bramy klasztoru?

— Bramę można wysadzić.

— I dać się wystrzelać jak kaczki?

— Phi! Jest tam przecież tylko pięćdziesięciu żołnierzy.

— Garstka za murami może być groźniejsza niż cała armia na otwartym polu.

— To prawda, do licha! Otrzymałem rozkaz zdobycia klasztoru za wszelką cenę.

— A ja wprowadzenia was do niego, również za wszelką cenę. Przemądrzali republikanie zapomnieli, że stare klasztory mają zwykłe podziemne przejścia: dostaniecie się więc do środka nie zauważeni przez nikogo. Ludzie Juareza rozłożyli się na dziedzińcu i w ogrodzie.

Dowódca uśmiechnął się z zadowoleniem.

— Sprawimy im niespodziankę. Wyobrażam sobie ich przerażenie, gdy zobaczą nas w klasztorze. Niech więc pan prowadzi! Ale co zrobimy z końmi?

— Zostawcie przy nich kilku ludzi. Gdy będziecie już w klasztorze, wróć i ukryję konie w bezpiecznym miejscu.

Nie przeczuwając nic złego, pułkownik przystał na plan Kurta. Gdy oddział wszedł do kamieniołomów, usłyszeli czyjś głos:

— Stać!

— To swój — uspokoił Kurt.

— Hasło?

— „Miramar”.

— W porządku.

— Kto to? — spytał szeptem dowódca.

— Kolega. W pojedynkę nie dałbym rady was poprowadzić.

— Gdzie jest to wejście?

— O, tu — wskazał Sternau i pierwszy zszedł do podziemi. Zapalił dwie latarki; jedną

sam trzymał, a drugą podał Kurtowi.

— Kto pójdzie przodem? — zainteresował się pułkownik.

— Ja — odparł Kurt.

— A tamten z tyłu?

— Tak.

— Będzie trochę za mało światła. Szkoda, że nie ma więcej latarek. No, ale trudno. Ja idę tuż za panem. Żołnierze, naprzód!

Zaczęli wolno posuwać się z jednego korytarza do drugiego, aż dotarli do tego, w którym Sternau rozsypał proszek. W pewnej chwili Kurt zakrył dłonią otwór latarki; światło latarki zgasło momentalnie.

— Do diabła! Co pan wyrabia? — wrzasnął oficer.

— Nie moja wina — usprawiedliwił się Kurt. — To przeciąg. Zaraz zapalę.

Przykucnął, jak gdyby w tej pozycji łatwiej mu było to zrobić i potarł zapałkę o ścianę. W jej blasku zobaczył proszek rozspany przez Sternaua.

— Manfredo! — rozległ się głos doktora.

— Słucham! — odpowiedział Kurt i obaj jednocześnie rzucili płonące zapałki na ziemię.

Na obydwóch końcach korytarza zamigotały niebiesko–żółte płomyki. Kurt kilkoma susami pokonał odległość dzielącą go od drzwi, których wcześniej — zgodnie z umową — nie domknął Sternau, i zatrzasnął je za sobą. Doktor zrobił to samo ze swoimi, które właśnie minął. Rozległy się przerażone głosy i przekleństwa żołnierzy. Potem przeraźliwe jęki. Po pewnym czasie wszystko ucichło.

Kurt pobiegł na górę do towarzyszy. Zeszli z nim z wyjątkiem chorego don Fernanda. Powietrze na tyle się oczyściło, że można było wejść do zagazowanego korytarza.

— Kurt? — upewnił się Sternau, ujrawszy światło.

— To ja.

— Wszystko w porządku?

— Tak. A u ciebie?

— Również. Trzeba ich natychmiast rozbroić i jak najszybciej zaryglować oboje drzwi. Nie wiem, jak długo trwa omdlenie.

Uporali się z tym bardzo szybko. Potem Sternau na wszelki wypadek zatarasował kamieniami tajemne przejście do klasztoru.

— Uff! Poszło nam jak z płotka — cieszył się mały Andre. — Długo nas popamiętają.

— To jeszcze nie koniec — ostudził jego radość Sternau. — Gdzie są konie?

— Tam, gdzie ustaliliśmy. Na dole, niedaleko szosy — przypomniał Kurt. — Zejdę do wartowników i powiem im, że dostaliśmy się szczęśliwie do klasztoru i pokonaliśmy republikanów.

— Myślisz, że ruszą za tobą wraz z końmi i sami oddadzą się w nasze ręce? Oby byli tak naiwni! Tylko na to możemy liczyć. Idź więc!

Kurt był w dobrym humorze, toteż pogwizdywał przez całą drogę. Bez trudu odszukał miejsce postoju koni.

— No, jestem wreszcie — rzekł wesołym tonem.

— Zgłupiałeś? Dlaczego gwizdziesz tak głośno!? — oburzył się jeden z żołnierzy.

— Dlaczego nie mam gwizdać? I tak republikanie nie usłyszą tego. Siedzą wszyscy w lochach. Zaskoczyliśmy ich i ani się obejrżeli, jak ich obezwładniliśmy.

— Hura! Świetnie! Słyszycie?! A co robią nasi?

— Jedni siedzą i obżerają się, inni opróżniają w piwnicach butelki z winem.

— Wstręciuchy! A jakie są dla nas rozkazy?

— Macie zostać przy koniach.

— Kto tak powiedział? Pułkownik?

— Nie. Waszego dowódcę podejmuje doktor Hilario i obaj piją na umór. To powiedział ktoś inny, niższy szarżą.

— Nie interesują nas zdania innych. Jeżeli jedni jedzą i piją, dlaczego nie mamy im towarzyszyć? Czy na dziedzińcu klasztornym znajdzie się miejsce dla naszych koni?

— Nie tylko dla waszych.

— Jedziemy więc, a ty prowadź!

— Dobrze. Ale z góry uprzedzam: nie miejcie do mnie pretensji, jeśli was na górze nie przyjmą, jak się spodziewacie.

— Nie gadaj, rób, co ci każemy!

Kurt dosiadł konia i pojechał przodem. Gdy przybyli pod bramę klasztoru, krzyknął hasło, wcześniej umówione ze Sternauem. Natychmiast ją otworzono i zaraz potem zamknięto. Wjechali na dziedziniec. Było tu pusto i cicho. Zastanowiło to widać żołnierzy, bo jeden z nich zapytał:

— Gdzie są nasi towarzysze?

— Na drugim podwórku — odpowiedział Kurt. — Tam dopiero będziecie mogli sobie użyć. Zsiadajcie z koni.

Zasadzka była znakomicie przygotowana. Ledwie weszli na dziedziniec, otoczono ich i rozbrojono. Stało się to tak szybko, że żaden z nich nie zdążył nawet dobyć noża czy

rewolweru.

Teraz dopiero nasi przyjaciele, mogli pogratulować sobie zwycięstwa. Ostatnich jeńców zamknięto w celach, posłano po alkalda i sprowadzono go do klasztoru. Sporządził szczegółowy protokół. Jeden z punktów głosił, że bracia Cortejowie, Josefa i Landola mają pozostać w lochu do dyspozycji prezydenta. Pilnować ich będzie Mariano, Gerard, Grandepriś i marynarz Peters.

Przed południem przygalopował Sępi Dziób z meldunkiem, że dwustu strzelców Juareza zbliża się do Santa Jaga. Istotnie, wkrótce oddział ten, dowodzony przez majora, przybył do klasztoru. Sternau przypomniał sobie, że poznał już tego oficera nad Rio Grandę del Norte. Kiedy opowiedział mu, w jaki sposób obezwładniono dwustu żołnierzy, dysponując tak niewielką liczbą ludzi, major nie mógł się nachwalić pomysowości i precyzji wykonania planu. Postanowił, że jeńcy zostaną na razie w klasztorze. Pieczę nad nimi sprawować będzie kilku strzelców podporządkowanych Marianowi i Gerardowi. Pod koniec rozmowy major spytał Sternaua:

— Co pan zamierza robić dalej?

Okazało się, że doktor, Kurt, Sępi Dziób, Bawole Czoło, Niedźwiedzie Serce, Piorunowy Grot i Mały Andre chcą niezwłocznie jechać do Juareza, który przebywa w Zacatecas, głównej kwaterze generała Escobeda, stojącego na czele oddziałów rozlokowanych na północy kraju. Wtedy major poprosił Sternaua o doręczenie raportu generałowi. Meldował w nim między innymi, że do stolicy zbliża się od południa na czele swych wojsk Porfirio Diaz.

Sternau i towarzysze zaczęli szykować się do drogi. Spakowano wszystko, co mogło stanowić wartość dla Juareza. Przede wszystkim papiery i kosztowności znalezione u Hilaria. Przed wyjazdem wysłano dwóch vaquerów do hacjendy del Erina z wieścią, że wszyscy ci, których uważano za zaginionych, żyją i nawet najsłabsi, jak hrabia Fernando, wracają do zdrowia.

W ZACATECAS

Przygotowania do drogi nie zajęły dużo czasu i nasi przyjaciele, pożegnawszy się z Gerardem, Marianem, Grandeprise'em i Petersem wyruszyli do Zacatecas jeszcze tego samego dnia przed wieczorem. Po trzydziestu sześciu godzinach szczęśliwie dotarli na miejsce.

Sternau i Kurt natychmiast zameldowali się u prezydenta. Juarez był bardzo zajęty, ale gdy go powiadomiono, kto prosi o posłuchanie, zaraz ich przyjął.

Zazwyczaj niewylewny, z dystansem traktujący ludzi, teraz witał ich serdecznie. Podszedł do Sternaua i wyciągnął do niego obie ręce, zawołał z uśmiechem, który rzadko gościł na jego twarzy:

— Czy wzrok mnie nie myli, senior?! A więc to nieprawda, że znów był pan w niewoli?

— Niestety prawda, senior. Znalazłem się wraz z przyjaciółmi w beznadziejnym położeniu. Ratunek zawdzięczamy temu oto młodzieńcowi. Pozwól, senior, że go przedstawię: porucznik huzarów gwardii Kurt Unger.

Kurt skłonił się elegancko.

— Unger? Unger? Pańskie nazwisko nie jest mi obce — powiedział Juarez po chwili namysłu.

— Ależ pan ma pamięć, senior! Przed laty pomógł pan przekazać do Niemiec przesyłkę dla mnie, zawierającą kosztowności z królewskiego skarbu Indian, ukrytego w...

— Ach, pochodzi pan z Reinswalden? — przerwał prezydent. — I jest pan synem kapitana Ungera, a bratankiem Piorunowego Grota?

— Tak.

— Witam z całego serca! Cieszę się, bardzo się cieszę, że pana poznałem. A teraz — zwrócił się do Sternaua — opowiadaj drogi Matava-se, gdzie i w jaki sposób znowu was uwięziono!

Doktor dokładnie zrelacjonował, co im się przydarzyło w klasztorze della Barbara. Zapoteka słuchał z uwagą, a kiedy Sternau skończył, westchnął głęboko.

— Jak to możliwe? Wiem wprawdzie, co to za łotr z tego doktora Hilaria, seniorka Emilia go zdemaskowała, nie przypuszczałem jednak, że jest zdolny do tak zbrodniczych występków. I nie rozumiem, co mu mogło przyjść z unieszkodliwienia was!

— Dużo, bardzo dużo. Dla własnej korzyści chciał pozbyć się wszystkich tych, którzy

znali tajemnicę rodu Rodrigandów. Ale nie tylko to. Mój młody przyjaciel — wskazał na Kurta — wie o nim więcej. Mów więc, Kurcie!

W miarę opowiadania porucznika zainteresowanie prezydenta rosło z sekundy na sekundę. Nieprzenikniona zazwyczaj twarz ożywiła się. W oczach zamigotały złowrogie błyski. Podniósł się z krzesła i zaczął chodzić tam i z powrotem.

— A więc — rzekł po chwili — chcą mnie zmusić do zamordowania arcyksięcia austriackiego i w ten sposób pozbawić władzy! Ten gruby, niski człowieczek, Arrastro, należy do grona przywódców spisku i marzy mu się jakaś wysoka funkcja w nowym rządzie! Nigdy do tego nie dojdzie! Złapią go, choćby był samym diabłem! Doktor Hilario natomiast to tylko pionek w tym całym sprzysiężeniu, prawda?

— Bez wątpienia.

— Czy dobrze zrozumiałem? Teraz jest on u Maksymiliana w Queretaro? A więc niebezpieczeństwo grozi również senioricie Emilii. Ona też tam przebywa. Ale — podniósł głos — już ja sobie z tym wszystkim poradzę! Nie domyślacie się nawet, jaką oddaliście mi przysługę. I należą wam się słowa uznania za udaremnienie zamachu w Santa Jaga. To wyczyn nie lada!

Podszedł do obu mężczyzn i uścisnął im ręce. Wtedy Kurt wyjął z portfela list i podał mu mówiąc:

— Baron von Magnus, pełnomocnik pruski w Meksyku, prosił bym osobiście wręczyć panu to pismo.

Juarez chwilę czytał w milczeniu.

— Pan von Magnus poleca mi pana niezwykle gorąco.

— To uprzejmie z jego strony. A oto jeszcze inne papiery.

Wręczył Juarezowi plik dokumentów. Prezydent złamał pieczęcie i zagłębił się w lekturze. Na jego twarzy pojawił się wyraz zdumienia.

— Dios mio! To niezwykle ważne akta państwowe! Proszę mi wybaczyć ciekawość, ale chciałbym wiedzieć dlaczego panu, tak przecież młodemu powierzono ową trudną i zaszczytną misję.

Sternau także był zaskoczony. Kurt wyjaśnił skromnie:

— Wyróżnienie to zawdzięczam, poza kilkoma drobnymi zasługami, życzliwości wysoko postawionych osobistości, z którymi miałem sposobność się zetknąć.

Juarez raz jeszcze przerzucił papiery i powiedział:

— Piszą tu, że pan przekaże mi ustne stanowisko pańskiego mocarstwa wobec Meksyku. Dobrze się stało, że występuje pan jako osoba prywatna. Odrzuciłbym bowiem

stanowczo oficjalne pertraktacje dotyczące człowieka, który nie zawahał się naruszyć niepodległości mojego kraju. Co więc ma mi pan do powiedzenia?

— Panuje ogólne przekonanie, że w obecnych warunkach cesarz Maksymilian nie utrzyma się długo. Jakie jest pańskie zdanie, panie prezydencie?

Juarez lekceważąco machnął ręką.

— Nazywa pan tego człowieka cesarzem? Jakim prawem?

— Wiele państw uznało go za cesarza.

— Ale nie od tych państw zależy suwerenność Meksyku! Zresztą, gdyby nawet było inaczej, ich rządy powinny przewidzieć, że owa cesarska parodia w Meksyku prędzej czy później musi się skończyć. I oto nadeszła ta chwila. A jeśli o mnie idzie, to nigdy nie znałem żadnego Maksymiliana Meksykańskiego. Znam jedynie niejakiego Maksymiliana Habsburga, który pozwolił, aby Napoleon uczynił z niego marionetkę. Proszę więc nie nazywać go w mojej obecności cesarzem Maksymilianem.

— Jak, zdaniem pana, potoczą się jego losy?

— Senior Unger, mówi pan otwarcie i jasno. Ja również będę szczery. Jeżeli Maksymilian zechce opuścić nasz kraj dobrowolnie i szybko, nie przeszkodzę mu w tym. Jeżeli jednak będzie się ociągać, biada mu!

— Jak to mam rozumieć?

— Po prostu. Rząd meksykański wytoczy mu proces.

— Kto utworzy rząd? —Ja.

— Zostanie pan prezydentem Meksyku? Juarez ściągnął brwi.

— Co znaczy to pytanie? Czyżbym nim nie był? Kurt nie dał się zbić z tropu.

— Przypominam, że nie wygłaszam tu prywatnych opinii.

— Proszę więc odpowiedzieć zgodnie z obiektywnymi faktami: kto mnie pozbawił władzy i godności prezydenta?

— Napoleon i Maksymilian.

— Oni? Sam pan w to nie wierzy. I zapewniam pana, że w ciągu kilku tygodni zawładnę całym Meksykiem. Powtarzam raz jeszcze: oni tę wojnę przegrali.

— A pan będzie sędzią Maksymiliana... Jaka kara mu grozi?

— Zostanie rozstrzelany.

— Czy można ot tak, po prostu rozstrzelać członka rodziny cesarskiej?

— Stanie przed sądem.

— Sąd ten musi pamiętać, kim jest oskarżony. Arcyksiążę austriacki zasługuje chyba na pewne względy.

— Kto liczy na względy, ten sam powinien był je stosować wobec swoich przeciwników. Każdego złodzieja, oszczercę, buntownika, wywołującego wojny domowe, karze się jednakowo; jego rodowód czy pochodzenie nie ma tu nic do rzeczy. Im zaś kto przebieglejszy, tym okrutniejszą poniesie karę.

— To surowe zasady.

— Bo i ja jestem surowy.

— Ale człowiek, który chce być głową państwa, może pozwolić na akt łaski!

— Kto panu powiedział, że nie myślałem o tym?

— Pan.

Juarez wstał z krzesła, przeszedł się kilkakrotnie po pokoju i stanął przed Kurtem.

— Młodzińcze, proszę powiedzieć wprost: pański rząd życzy sobie, bym zastosował prawo łaski, czy tak?

— Tak.

— Wie pan, jak Maksymilian został cesarzem? Wie pan, że byłem wtedy z woli narodu i łaski Boga władcą tego kraju?

— Wiem.

— Czy unieszczęśliwiłem swój naród?

— Nie.

— Czy naród odebrał mi władzę?

— Także nie. Chociaż w Paryżu zjawiała się delegacja i prosiła cesarza...

— Była to gra, farsa! A czy chociażby pan słyszał, w jaki sposób najeźdźcy rządzą Meksykiem?

— Słyszałem. I nie wątpię, że te wszystkie krytyczne opinie są uzasadnione.

— Podsumowując. Przeciw Maksymilianowi Habsburgowi mam dwa zarzuty. Po pierwsze: zaufał człowiekowi, który nie rozumie potrzeb naszego kraju. Po drugie: teraz gdy Francuzi wycofują się, zamiast zrobić to samo, pozostaje tutaj. Czyżby był zaślepiony i w dalszym ciągu wierzył w pomoc Napoleona? Postępując wbrew wszelkiej logice i rozsądkowi. Zna pan jego barbarzyński dekret z 3 listopada?

— Owszem.

— Zna go również pański rząd?

— Jestem pewien, że tak.

— Jaka jest myśl przewodnia tego dekretu?

— Każdy wróg cesarstwa jest zdrajcą kraju, buntownikiem i powinien być bez sądu karany śmiercią.

— Na mocy tego dekretu pozbawiono życia wielu obywateli. Moi generałowie Arteaga i Salazar zostali zamordowani bez sądu i bez wyroku. Żyliśmy spokojnie w swoim kraju, byliśmy szczęśliwi. Nagle przyszły wojska z Europy i ich wodzowie oświadczyli, że nie mamy prawa ani do spokoju, ani do własnego rządu. Zmuszono nas do uznania Maksymiliana za cesarza. Rozpoczęły się krwawe walki. Kto więc był buntownikiem, młodzieńcze?

Kurt nie odpowiedział.

— My? Czy Francuzi, a raczej Maksymilian? — z goryczą pytał Juarez. — A kogo traktowano jak bandytów? Dekret jest tylko praktycznym zastosowaniem starego powiedzenia: „Biada zwyciężonym!” Ulegliśmy, nieszczęście spadło na nasze głowy. Ale sprawiedliwy Bóg nam dopomógł. Zaczęliśmy odnosić zwycięstwa. Moglibyśmy również zawołać: „Biada zwyciężonym!” Mamy do tego jeszcze większe prawo. Lecz nie wołamy tak. Nie chcemy niesprawiedliwości i okrucieństwa. Dochodzimy tylko swych praw, a wobec wroga chcemy postępować zgodnie z prawem. Zna pan słowa Biblii: „oko za oko, ząb za ząb”? Otóż tak właśnie postępuje się na prerii, ale nie tylko...

— Okrutne to hasło — przerwał Kurt. — Narody cywilizowane... Juarez był wzburzony.

— Niech pan nie mówi o cywilizacji! — zawołał. — Gdy Pantera Południa morduje i grabi wokoło, nikt nie wątpi, że to po prostu drapieżne zwierzę w ludzkiej skórze. Gdy Cortejo oświadcza, że chce zostać prezydentem, powszechnie traktuje się go jako śmiesznego zarozumialca. Dlaczego więc nie ma tak jednoznacznej opinii o Napoleonie i Maksymilianie? Zbrojnie napadłszy na Bogu ducha winny kraj, niczym się przecież nie różnią od Botokudów, Komanczów, Kurdów i innych dzikusów, a tym samym należy ich uznać za barbarzyńców. Wspomniał pan o narodach cywilizowanych. I one jednak, nie zaprzeczy pan, uznają w swych ustawach prawo odwetu. Nie mówią już wprawdzie: „oko za oko, ząb za ząb”, ale za morderstwo choćby jednego człowieka karzą śmiercią, za inne zbrodnie więzieniem lub grzywnami. Czy policzył pan te krople krwi, które popłynęły podczas ostatniej okupacji Meksyku?

Kurt zaprzeczył ruchem głowy.

— Nikt ich zliczyć nie potrafi, bo to nie krople, ale całe morze! Czy postąpię niesłusznie, skazując na śmierć sprawców tej rzezi?

— Powtarzam: człowiek, o którym pan mówi, jest człowiekiem znanej rodziny cesarskiej.

— Nic mnie to nie obchodzi! Im wyższe stanowisko tym surowsza winna być kara. Co

powiedziałyby Austria, gdybym nagle napadł na nią na czele wojska i chciał dowieść, że jestem lepszym władcą niż...

Nie dokończył, bo nagle drzwi się otworzyły i wszedł, a raczej wpadł do pokoju jakiś człowiek w mundurze oficerskim. Wyglądał na Meksykanina, wzrost miał średni, podobną tuszę, cerę oliwkową, ostre rysy twarzy. Ciemne, błyszczące oczy i szybki krok, którym podszedł do Juareza, wskazywały na ognisty temperament.

— Senior Juarez! — zawołał, wyciągając na powitanie obie ręce.

— Co widzę? Generał Porfirio Diaz w Zacatecas! — wykrzyknął prezydent, serdecznie obejmując gościa. — Sądziłem, że jest pan dość daleko ode mnie. Czy stało się coś złego?

— O, nie, przeciwnie! Przynoszę bardzo dobrą nowinę.

— Mów, generale!

Diaz spojrzał na Kurta i Sternaua.

— To senior Sternau i senior Unger. Przy nich może pan mówić otwarcie — wyjaśnił Juarez.

— Poinformowano mnie — zaczął generał — że moje dwa ostatnie raporty nie dotarły do pana. Przechwycili je wrogowie. I dlatego tu przyjechałem. Wie pan zapewne, że Francuzi opuścili kraj?

— Wiem.

— Czy wie pan również, że Maksymilian znajduje się w Queretaro?

— Tak.

— Panuje jeszcze tylko nad trzema miastami: stolicą, Queretaro i Veracruz. Komendantem Meksyku jest krwawy generał Marquez — łotr nad łotrami.

— Bóg da, że niedługo będzie sprawować swój urząd!

— Mam nadzieję. Czekałem na pańskie rozkazy. Ponieważ nie nadchodziły, zacząłem działać na własną rękę. Uznałem, że należy przerwać połączenie między tymi miastami, w których sprawuje rządy Maksymilian. Dlatego oblegałem Pueblę i zdobyłem ją.

— Wielki to sukces, senior Diaz! Dziękuję z całego serca!

— Cieszę się, że popiera pan to, co zrobiłem. Kolejnych decyzji nie mogę jednak podejmować sam. Chciałbym naradzić się z panem i generałem Escobedem nad dalszą strategią. Kiedy będziemy mogli porozmawiać?

— Wkrótce. O terminie zawiadomię pana i generała Escobeda. A teraz, senior, jesteś moim gościem. Proszę ze mną!

Poważny i powściągliwy w uzewnętrznianiu uczuć Zapoteka wprost promieniał

radością. Przeprószył Sternaua i Ungera i ująwszy generała pod ramię, wyszedł z nim z pokoju.

Po pewnym czasie wrócił sam.

— Senior Sternau — spytał — słyszał pan już kiedyś o Porfirio Diazie?

— Nawet bardzo wiele!

— Ilekroć o nim pomyślę lub ujrzę, przypomina mi się jeden z generałów Napoleona I, którego cesarz nazywał najdzielniejszym spośród dzielnych.

— Czyli marszałek Ney?...

— Tak. Diaz jest takim moim marszałkiem Neyem. To nie tylko dobry i pewny żołnierz, ale również zdolny dyplomata. Jestem przekonany, że zostanie kiedyś moim następcą. A teraz przejdźmy do bieżących wydarzeń. Czy wie pan, gdzie leży Puebla?

— Oczywiście. Między stolicą a portem Veracruz. Przejeżdżałem przez to miasto.

— Zdobyliśmy je. Maksymilian Habsburg jest zgubiony: Odcięliśmy drogę do portu.

Nie wymknie się.

— Senior, błagam o litość dla niego! — Kurt złożył prosząco ręce.

— Ja również! — dodał Sternau.

Juarez spojrział na nich i pokręcił głową. Twarz mu rozjaśnił łagodny wyraz, tak rzadki dla niego.

— Sądziłem, że zna mnie pan, senior Sternau — uśmiechnął się.

— I ja tak myślę. Uważam pana za mocnego człowieka o niezłomnym charakterze. Każdy swój plan, każde zamierzenie przeprowadza pan konsekwentnie. Ale nie kieruje się pan wyłącznie rozumem, lecz także i sercem. Dlatego spodziewani się, że prośba nasza będzie wysłuchana.

— Czego właściwie spodziewacie się po mnie?

— Że pozwoli pan na ucieczkę arcyksięcia!

— A jeżeli się nie zgodzę?

— To niechże go pan chociaż nie skazuje na śmierć.

— Seniores, za dużo ode mnie wymagacie. Maksymilian wydał na siebie wyrok własnym dekretem. Chciałem okazać mu litość, ale zaprzepaścił to. Nie mogę go uznać za cesarza Meksyku, tak samo jak on nie uznaje mnie za prezydenta. Nie mam ochoty wdawania się z nim w dyplomatyczne przetargi, tak samo jak on nie życzy sobie kontaktów ze mną. Jestem jednak nie tylko prezydentem, ale i człowiekiem. Jako człowiek dałem mu szansę, niestety, nie skorzystał z niej.

— Co za zaślepienie! — wtrącił Sternau.

— Wysłałem do niego senioritę Emilię. Starła się go przekonać, że ci, którzy go

otaczają, to zdrajcy albo awanturnicy. Nie wyciągnął jednak z tego wniosków.

— W takim razie sarn ponosi winę.

— Przekazała mu również — ciągnął dalej — że droga do morza pozostanie do ostatniej chwili otwarta, może więc w każdej chwili wyjechać. Na tę propozycję odpowiedział śmiechem. Upредиła też, że jeśli wpadnie w ręce moich ludzi, nie będę go mógł uratować. I na to odpowiedział śmiechem.

— Nie ma więc dla niego ratunku? — zapytał Kurt. Juarez spojrzał nań badawczo.

— Może by się i znalazł... Może... Chciałby pan się tym zająć?

— Oczywiście.

— Myślę, że nie przyniesie skutku. Ale warto spróbować. Jest pan jedynym człowiekiem, któremu mogę powierzyć takie zadanie. Czy potrafi pan przedostać się przez przednie strażę?

— Mówi pan o forpocztach cesarza?

— Tak. Dla moich wystawię panu glejt.

— Mam dobre dokumenty. Tamci mnie nie zatrzymają.

— I sądzi pan, że się dostanie do Maksymiliana?

— Jestem tego pewien.

Juarez raz jeszcze uważnie przyjrzał się Kurtowi. Po chwili podszedł do stołu i napisał coś na arkuszu papieru. Podając go Kurtowi rzekł:

— Przypuszczam, że to wystarczy. Proszę się z tym zapoznać.

Niniejszym zabraniam — czytał Kurt — czynić jakichkolwiek trudności okazicielowi tego pisma i jego towarzyszom. Rozkazuję bezwarunkowo przepuszczać przez linie bojowe i udzielać wszelkiej pomocy. Działający wbrew powyższemu rozkazowi ukarani zostaną śmiercią.

JUAREZ

Kurt podziękował. Poczuł się już prawie wybawcą Maksymiliana i wyobraził sobie, jak mu będą wdzięczni jego mocodawcy.

— Nie wierzę, by się udało — mruknął Juarez.

— A ja obiecuję, że wykonam zadanie.

— Oby! Oby tylko ów człowiek podporządkował się panu!

— Maksymilian? Przecież potrafi myśleć!

— Zobaczymy.

— Czy mogę pokazać ten list arcyksięciu?

— Tak.

— A innym?

— Nie. Niech pan nie zapomina, że gdyby moi zwolennicy dowiedzieli się, iż uczyniłem cokolwiek dla uratowania arcyksięcia, nie darowałoby mi tego. Mimo pańskiego młodego wieku ufam panu i trzeba to powiedzieć wprost... oddaję się w pańskie ręce przeświadczony, że nie nadużyje pan mojego zaufania.

Kurt chciał coś odpowiedzieć, ale Zapoteka nie dopuścił go do głosu:

— Uczyniłem wszystko, co w mojej mocy. Jeżeli Maksymilian mimo wszystko wpadnie w ręce moich żołnierzy, żadna siła już go nie uratuje. Nie jestem absolutnym władcą, muszę się liczyć z wolą ludu. Dlatego proszę Boga, aby pomógł panu zrealizować pańskie zamiary.

Teraz Juarez zwrócił się do Sternaua:

— Pański przyjaciel musi jak najprędzej jechać do Queretaro. Tym bardziej, że senioricie Emilii grozi niebezpieczeństwo. Tam jest przecież doktor Hilario. Może porucznik Unger będzie mógł jej pomóc. Co zaś do pana... Mam wielką prośbę.

— Spełnię ją, jeśli tylko zdołam, senior.

— Co zamierza pan robić w najbliższej przyszłości?

— Nie mam jeszcze określonego planu. Powinienem ostatecznie uporządkować sprawy rodu Rodrigandów, a także doprowadzić do śledztwa i oddać w ręce sądu bezpośrednich sprawców tej tragedii, czyli Cortejów, Landolę, Hilaria i jego bratanka. Bez pańskiej pomocy nie zdołam tego uczynić. Ale i tak nie wiem, jaki sąd mógłby wydać prawomocny wyrok. Sytuacja społeczno—polityczna kraju jest niestabilizowana. Nikt nie może przewidzieć, co się jeszcze wydarzy.

— Ma pan rację. Potrzebny nam trybunał, którego postanowienia uznają inne mocarstwa, przede wszystkim zaś Hiszpania. A taki nie powstanie przed unormowaniem sytuacji. Mam nadzieję, że nastąpi to niedługo, bo z końcem czerwca. Czym więc pan się zajmie do tego czasu?

— Jeżeli pan pozwoli, chętnie popracowałbym dla pana.

— Jakże się cieszę! O to właśnie chciałem prosić! Co pan myśli o służbie oficerskiej w moim sztabie?

— Senior, pan przecież wie, że...

— Och! — przerwał Juarez. — Domyślam się, że waha się pan, czy mi powiedzieć, iż pańskie życie jest dla pana i dla tych, którzy za panem od lat tęsknią, zbyt cenne, by je poświęcić sprawie, która pana bezpośrednio nie dotyczy.

— Tak, senior. Myślę, że nie weźmie mi pan tego za złe.

— Oczywiście! W pełni pana rozumiem. I nie wątpię w pańską odwagę. Pańskie wyjątkowe zdolności cenię zaś ogromnie. Dlatego też prosiłbym, aby pan u mnie pracował jako lekarz. Medycy są tu nam bardzo potrzebni. Mamy ich niewielu, na przykład zaledwie jednego chirurga.

— Na jak długo życzyłby sobie pan mnie zatrzymać?

— Na czas nieokreślony. W każdej jednak chwili może pan odejść, jeśli uzna to za słuszne.

— Z radością przyjmuję tę ofertę, panie prezydencie. Uścisnęli sobie dłonie.

— A więc sprawa załatwiona — uśmiechnął się Juarez. — Dziękuję serdecznie. Kto z panem przyjechał do mnie oprócz porucznika Ungera?

— Bawole Czoło, Niedźwiedzie Serce, Sępi Dziób, Piorunowy Grot i Mały Andre.

— Czy wyznaczył już im pan jakieś zadania?

— Zastanowię się jeszcze. Dzisiaj proponuję, aby Mały Andre towarzyszył seniorowi Ungerowi.

— To dobry pomysł — uradował się Kurt.

— I ja tak uważam — dodał prezydent. — I jeszcze jedno. Wspominaliście panowie o rzeczach skonfiskowanych w piwnicach klasztoru Santa Jaga. Co to jest?

— Korespondencja Hilaria, różne tajne dokumenty oraz skarby, które nagromadził.

— Muszę to później zobaczyć. Teraz czekają na mnie pilne zajęcia — podniósł się z krzesła. — Oczywiście, senior Sternau, zamieszka pan w mojej rezydencji. Prozę odpocząć. Mam nadzieję, że jeszcze dzisiaj się spotkamy.

INTRYGA

Traktem prowadzącym z Meksyku do Queretaro pędził samotny jeździec. Przejechawszy mniej więcej połowę trasy, minął miasteczko Tulę i skręcił w polną drogę. Po pewnym czasie ujrzał ruiny jakiegoś domu strawionego przez pożar. Zatrzymał się, puścił konia wolno, a sam usiadł w cieniu jednej z zawalonych ścian. Po chwili zerwał się na równe nogi, usłyszał bowiem ciche „pst”. Rozejrzał się, ale nie zauważył nikogo.

— Pst! — rozległo się znowu. Wyciągnął pistolet.

— Senior Hilario! — zawołał ktoś półgłosem.

Z odbezpieczoną bronią w ręku zaczął skradać się w kierunku, z którego dochodził głos. Obszedł ścianę, pod którą przed chwilą siedział, i mało nie wpadł na niskiego grubasa, uśmiechającego się od ucha do ucha.

— A to ci niespodziankę panu sprawiłem, co? — zapytał Arrastro.

— Skąd się pan tutaj wziął? — Hilario nie mógł ukryć zdziwienia.

— Nasz tajny związek jest wszechobecny. Byłem w klasztorze della Barbara, rozmawiałem z pana bratankiem w godzinę po pana odjeździe. Wiedziałem, że nie zastawszy cesarza w stolicy, uda się pan do Queretaro. Wybrałem więc takie miejsce na uboczu, w którym, sądziłem, spotkamy się na pewno. I dobrze to wykalkulowałem, prawda?

— Ma mi pan coś ważnego do zakomunikowania?

— Tak.

— Czy coś szczególnego wydarzyło się w della Barbara?

— Skąd to pytanie? — Arrastro obrzucił doktora badawczym spojrzeniem.

— Chyba zrozumiałe w ustach człowieka, przebywającego z dala od własnego domu.

— Mówiłem przecież, że byłem w Santa Jaga godzinę po pańskim odjeździe. Co się mogło wydarzyć w ciągu godziny?

— O, nawet bardzo wiele! Szczególnie podczas wojny!

— A mnie się wydaje, że pan coś przede mną ukrywa i obawia się, że go zdemaskuję.

— Też coś — zachnął się Hilario.

— Chce pan się ze mną bawić w ciuciubabkę? Nie radzę.

— Nie mam żadnych tajemnic i niczego się nie boję. A więc do rzeczy: co chce mi senior powiedzieć?

— Od chwili, w której przekazałem panu polecenia organizacji, zaszły pewne zmiany. Do kilku miejscowości, leżących na tyłach wroga, związek wysłał zbrojne oddziały, które

podejmują akcje dywersyjne. Idzie nie tylko o walkę z republikanami, ale o stworzenie pozorów, że liczba zwolenników Maksymiliana jest większa, niż on sam przypuszczał.

— Aha, rozumiem! I zaniecha myśli o ucieczce z Meksyku.

— No właśnie. To przeświadczenie spowoduje, że pozostanie w kraju i wpadnie w ręce republikanów. Ci zaś, przede wszystkim ze względu na jego dekret z 3 listopada, odbędą nad nim sąd i skazą na śmierć. Natomiast cały cywilizowany świat potępi Juareza jako mordercę, bo ośmielił się nie ułaskawić pomazańca.

— Gdzie odbędą się te akcje dywersyjne?

— Pierwsza w Santa Jaga.

— W Santa Jaga?! — przeraził się doktor. — Dlaczego właśnie tam?

— Tak postanowił związek. Klasztor jest fortecą. Odeprze każdy atak. Dlatego nasi obsadzili go w nocy po pańskim odjeździe.

— Do kroćset! I mnie tam nie ma...

— Dlaczego to pana tak wzburzyło? — grubas spojrział na doktora podejrzliwie.

— Wie pan przecież, że kieruję szpitalem. Odpowiadam za wszystko i za wszystkich, którzy tam przebywają.

— Nic mnie to nie obchodzi!

— A mnie bardzo. Ilu żołnierzy zostało zakwaterowanych w klasztorze?

— Około dwustu.

— W szpitalu jest wielu rekonwalescentów, chorych, w tym spora grupa cierpiących na zaburzenia psychiczne. Wymagają szczególnej troski, przede wszystkim ciszy, spokoju. Nie ma pan pojęcia, jak negatywnie podziała na nich to, co zdarzyło się i jeszcze się zdarzy w della Barbara.

— Niech zdychają!

— To zaważy na mojej opinii jako lekarza.

— Co tam! Przecież nie pan obsadził klasztor wojskiem. A zresztą

— roześmiał się — odkąd to pan tak bardzo troszczy się o pacjentów? A może przyczyna pańskiego niepokoju jest całkiem inna?

Oczywiście Arrastro nie mylił się. Hilario myślał o więźniach zamkniętych w lochach. Obawiał się, że tajemnica może się wydać. Odpowiedział jednak ostrym tonem:

— Zupełnie nie rozumiem, o co panu chodzi. Mnie chodzi tylko o dobro szpitala.

— Nie ma więc powodu do zmartwienia. Wojsko wkroczyło nocą do klasztoru, rano zaś zdobyło Santa Jaga.

— Czy to pewne?

— Tak. Nie byłem wprawdzie przy tym, jestem jednak przekonany, że wszystko poszło gładko. Przecież nikt nie mógł stawiać oporu. Podobnie było w dziewięciu innych miastach. Oto ich wykaz — podał jakąś kartkę doktorowi.

— Mam zatrzymać tę listę?

— Tak. Przekażę ją pan w Queretaro majorowi Orbanezowi, adiutantowi generała Miramona.

— Czy major należy do naszego związku?

— To nie pańska sprawa. Ma się senior zameldować u majora, i kropka!

— Czy i w innych miejscowościach nasze akcje się powiodły?

— Oczywiście.

— W takim razie na pewno cesarza uda się zatrzymać w Meksyku.

— Nie ma wątpliwości. Co chce pan jeszcze wiedzieć?

— Nic.

— A więc jedź, senior, i wykonaj zadanie!

— A dokąd pan się wybiera?

— Do Tuli. Adios, senior! — grubas dosiadł konia i wkrótce zniknął z oczu Hilaria.

Doktor ruszył do Queretaro. Wiadomości otrzymane od Arrastra zepsuły mu humor. Przybywszy do miasta, udał się do majora Orbaneza. Przez chwilę panowie przyglądali się sobie badawczo. Major odezwał się pierwszy:

— Zameldowano mi pana jako doktora Hilaria. Znam pana od dawna.

— Niestety, nie mogę przypomnieć sobie kiedy i gdzie...

— Och! Ze słyszenia. Jest pan sławnym lekarzem i wiernym zwolennikiem jego cesarskiej mości. A może się mylę?

— Skądże! Życie poświęciłbym dla cesarza!

— Spodziewałem się tego. Pewien przyjaciel, którego pan zna również, a którego nazwiska nie chcę wymieniać, zapowiedział mi wczoraj pańskie przybycie. Jakie wieści senior przynosi?

— Dobre i ważne. W kilku miejscowościach wybuchło zbrojne powstanie zwolenników cesarza.

— To naprawdę pomyślna wiadomość. Jakie to miejscowości?

— Służę wykazem.

Orbanez chwilę czytał, a potem rzekł z chytrze udanym zdumieniem:

— Ależ to nieprawdopodobne! Przecież wszystkie te miasta leżą na tyłach wojsk Juareza. Czy można uważać, że akcja się udała?

— W całym tego słowa znaczeniu. Sam byłem świadkiem jednej.

— Mówi pan o Santa Jaga?

— Tak. Widziałem, jak do miasta wkroczyło wojsko i zatknęło sztandar na murach klasztoru.

— A jak na to zareagowała ludność?

— Entuzjastycznie. Gdy nadszedł ranek, zaczęła wznosić okrzyki na cześć Maksymiliana.

— Czy chciałby pan to powtórzyć jego cesarskiej mości?

— Będzie to dla mnie prawdziwy zaszczyt.

— Zaraz pana zaprowadzę do cesarza. Proszę chwilę poczekać. Major wyszedł do przyległego pokoju. Siedział tam... Arrastro.

— No, jakże się ten doktor zachowuje? — spytał szeptem grubas.

— Bez zarzutu.

— Potwierdza wszystko?

— Tak. Powiada nawet, że był obecny przy powstaniu w Santa Jaga.

— No, no... Nie spodziewałem się, że będzie aż tak posłuszny! Wykorzystajmy go do końca, bo to przydatne narzędzie, a potem zniszczmy.

— Zrobi pan z niego kozła ofiarnego?

— Oczywiście. Nasza skóra jest mi droższa. Przypominam panu, że wszystkie powstania wymienione w spisie, z wyjątkiem zajść w Santa Jaga, są fikcją. Zresztą, wcale mi nie żal Hilaria. Ukrywa coś przede mną, a przeczuwam, że to nie lada łotrostwo. Jeśli on nie zginie, my obaj i Miramon — wymieniając nazwisko generała, ściszył głos — odpowiemy za wszystko głową.

— Zaprowadzę go teraz do cesarza — major podszedł do drzwi.

— Przedtem niech go pan skontaktuje z Miramonem. Generał jest w swojej rezydencji, w klasztorze La Gruz.

— Gdzie się będę mógł spotkać z panem?

— Natychmiast opuszczam Queretaro. Wszystkie wiadomości proszę przesłać do mojego domu w Tuli.

Grubas wyszedł z pokoju bocznymi drzwiami. Orbanez po chwili wrócił do czekającego Hilaria.

— Pójdziemy najpierw do generała Miramona — powiedział z miną łaskawego dobroczyńcy — do koronowanych głów trudno się dostać bez zaanonsowania.

Wyszli z pokoju. Najpierw znaleźli się na pierwszym korytarzu, następnie przeszli

drugi, równie długi jak poprzedni. Orbanez zatrzymał się przed jakimiś drzwiami i zapukawszy, wszedł do środka. Za biurkiem siedział generał Miramon, człowiek o dwóch obliczach, żądny władzy i sławy, którego z czystym sumieniem można było nazwać zdrajcą i szubrawcem.

Popatrzył przenikliwie na oficera.

— O co chodzi?

— Przeprowadziłem doktora Hilaria z Santa Jaga.

— Ach, to ten, któremu posłailiśmy dwustu ludzi? — przypomniał sobie Miramon. — Czy był świadkiem ich zwycięstwa?

— Nie. Wyjechał stamtąd wcześniej do stolicy, a później do Queretaro.

— Szkoda. W takim razie nie na wiele nam się przyda.

— Ależ przeciwnie! Gotów przysiąc, wcale zresztą nie zmuszany do tego, że jako mieszkaniec klasztoru widział wszystko na własne oczy.

— Zamach się udał oczywiście, co? Doskonale! Spisał się senior na medal. Gdy zostanę prezydentem, nie minie pana nagroda.

Na chwilę zamyślił się i twarz mu się zasepiła.

— Czy nie sądzi pan, majorze — odezwał się wreszcie — że prowadzimy ryzykowną grę?

— Co też panu przychodzi do głowy?! — obruszył się Orbanez.

— Mam pewne obietnice. Wydajemy cesarza w ręce Juareza. Jak on to oceni?

— Jestem przekonany, że będzie nam wdzięczny.

— W każdym razie, aby Juarez mógł schwytać lwa, my musimy stać się przynętą. I nie wierzę, bo to świadczyłoby o głupocie, że Zapoteka puści wolno swego wroga i rywala, jakim bez wątpienia jest dla niego Maksymilian.

— Znam Juareza. To szlachetny człowiek. Potrafi być wdzięczny.

— Nic mnie nie obchodzi szlachetność, natomiast wdzięczność interesuje mnie, i to nawet bardzo. Niech pan wprowadzi tego człowieka.

Po raz pierwszy Hilario stanął, przed przewodniczącym tajnego związku. Generał Miramon przyjrzał mu się uważnie.

— Powiedziano mi — odezwał się po chwili — że przybywa pan z Santa Jaga. Co chce mi senior zameldować?

— Do miasta wkroczył oddział żołnierzy i zatknął na murach sztandary cesarza.

Miramon zmarszczył czoło.

— Chciał pan zapewne powiedzieć: „oddział szaleńców”. Krok tego rodzaju, nie

poparty powstaniem w innych miastach, byłby szaleństwem.

— Ależ i w kilku innych miastach miały miejsce podobne wypadki!

— Co takiego?!

— Tak. Oto wykaz, senior! Mam wrażenie, że ten ruch zataczać będzie coraz szersze kęgi.

— Przynosi mi pan wspaniałą nowinę! Czy ręczy senior za jej prawdziwość?

— Głową.

Generał przejrzał kartkę.

— Myśli pan, że się udało?

— Jestem o tym przekonany.

Miramón z trudnością opanował uśmiech politowania.

— Czy ta wiadomość — pytał dalej — jest przeznaczona tylko dla mnie?

— Nie. Miałem nadzieję, że będę mógł ją przekazać osobiście cesarzowi.

— Chce pan stanąć przed cesarzem? — generał udał zdziwienie.

— Proszę o pozwolenie.

— Wystarczy, że ja, wódz naczelny, jestem poinformowany.

— Wiem o tym, senior. Ale jako poddany, chciałbym choć raz w życiu popatrzeć z bliska na swego władcę. Mam nadzieję, że wiadomości, które przywiozłem, upoważniają mnie do tego.

— Przyznaję — Miramón udał wahanie — że faktycznie zasłużył pan na nagrodę. Czy senior może ręczyć, że to wszystko, co powiedział, jest prawdą?

— Tak!

— A więc postaram się o ułatwienie panu dostępu do cesarza. Generał przypasał szablę i rzekł do stojącego przy drzwiach majora Orbaneza:

— Dziękuję. Wkrótce znowu się zobaczymy.

Oficer zsalutował i wyszedł. Jego zwierzchnik skinął na Hilaria, aby poszedł za nim.

Kwarta cesarza Maksymiliana mieściła się w Queretaro w klasztorze La Gruz. W chwili, w której Miramón realizował nowy plan zniszczenia swego władcy, Maksymilian, pogrążony w rozmyślaniach, stał przy oknie. O parapet drugiego opierał się przysadzisty mężczyzna w mundurze meksykańskiego generała. Na oliwkowej twarzy rysował się podobny wyraz powagi, co na twarzy cesarza. Nie ulegało wątpliwości, że wysoki wojskowy pochodzi z rodziny indiańskiej. Był to generał Mejia we własnej osobie.

Mówiąc ze Sternauem o marszałku Neyu jako o najdzielniejszym z dzielnych, Juárez nazwał generała Porfiria Diaza swoim Neyem. Maksymilian mógł to samo powiedzieć o

generale Meiji. Oddał on swe życie cesarzowi tak samo, jak niegdyś Ney Napoleonowi.

W pokoju panowała głucha cisza. Przed chwilą obaj mężczyźni skończyli rozmowę. Wreszcie cesarz, nie odwracając się od okna, zapytał:

— A więc Puebla jest również stracona?

— Nieodwołalnie, najjaśniejszy panie.

— Mam jednak wrażenie, że można by ją odzyskać. Czyż nie rozporządzamy piętnastoma tysiącami ludzi?

— Nie możemy rozdzielić sił. Escobedo zagraża nam poważnie.

— Przecież jest jeszcze w Zacatecas!

— Ale jego przednie straże są tak wysunięte, że spodziewać się ich tu można już za trzy dni.

Cesarz odwrócił się gwałtownie i popatrzył przenikliwie na Meiję.

— Ach, generale! Obawiasz się Escobeda? Meija nie odpowiedział.

— No i co? — nalegał Maksymilian. — Mówże!

— Nigdy nie lękałem się nikogo i jego też się nie boję, nie mogę jednak zaprzeczyć, że jest to jeden z najlepszych generałów, jakich znam. Przez wzgląd więc na mojego cesarza nie wolno mi go lekceważyć i przed podjęciem jakiegokolwiek decyzji, każdą muszę gruntownie rozważyć.

— Pytam raz jeszcze, generale: nie ma szans na odbicie Puebli?

— Nie widzę sposobu, w jaki można by ją odebrać.

— Ale przecież Marquez rozporządza w stolicy dostatecznymi siłami wojska.

— Potrzebuje ich jednak. Diaz mu zagraża.

— Uważa pan Diaza za równie dobrego generała jak Escobeda?

— Jeszcze przewyższa Escobeda.

— Marquez potrafi mu się oprzeć.

— Niech wasza cesarska mość wybaczy, ale mam inne zdanie. Marquez jest znienawidzony. Rządzi stolicą stosując gwałt i terror. Nie umie szybko podjąć decyzji, a przy tym nie można liczyć na jego wierność. Przez niego straciliśmy Pueblę.

— Mój Boże! Jak mnie pan dobija tymi informacjami!

— Niestety, najjaśniejszy panie, jesteśmy otoczeni.

— Nie będziemy więc mogli dostać się na wybrzeże?

— Teraz już nie.

— Nawet zjednoczywszy wszystkie siły? Rozporządzam około trzydziestoma tysiącami walecznych żołnierzy. Gdy się zdecyduję opuścić stolicę i Queretaro, żołnierze

przeprowadzą mnie bezpiecznie do Veracruz. Czy i w to pan wątpi?

— Niestety, tak.

— Dlaczego? Na miłość boską, dlaczego?! — Maksymilian nie ukrywał zniecierpliwienia.

— Przede wszystkim nie dowierzam tym „walecznym” żołnierzom, poza tym Porfirio Diaz już odciął nam drogę. Gdybyśmy chcieli podjąć z nim walkę, Escobedo przybędzie natychmiast z odsieczą i zaatakuje flanki.

— Więc najpierw pokonamy Diaza, a potem Escobeda.

— Niechaj wasza cesarska mość nie zapomina, że po oddaniu Queretaro i stolicy znajdziemy się w szczerym polu bez żadnej osłony.

Maksymilian nie był ani strategiem, ani nawet zwykłym żołnierzem. Opierał się przeważnie na przypuszczeniach, dobrych chęciach i mrzonkach. Teraz zaczynał naprawdę tracić nadzieję.

— Uważasz więc, generale, że wszystko stracone? — zapytał z wyraźną trwogą w głosie.

— Wszystko — potwierdził Mejia poważnie.

Cesarz nerwowo potarł brodę i spojrzał z wyrzutem na generała.

— Nie jest pan wcale dyplomata!

— Nie byłem nim nigdy, najjaśniejszy panie. Jestem żołnierzem i wiernym poddanym mego cesarza.

Maksymilian podał mu rękę i powiedział łagodnie:

— Wiem o tym. Byłeś mi zawsze jak ten czarny kruk, ale kierowały tobą najlepsze intencje.

— Czarny kruk! — powtórzył Mejia głęboko urażony. — O nie, najjaśniejszy panie, nie! Ostrzegałem, gdy tylko stanął pan na tej ziemi. Niestety, na nic się nie przydały przestrogi. Teraz zginę razem z moim cesarzem...

Znowu nastąpiła cisza. Cesarz patrzył w zamyśleniu na ogród. Po chwili odwrócił się wolno.

— Powiem szczerze, generale, że prawie żałuję, iż nie podzielałem niektórych pańskich poglądów.

Mejia ujął dłonie cesarza i ucałował.

— Dzięki, stokrotne dzięki za te słowa, najjaśniejszy panie! Są nagrodą za wszystkie przeżywane w skrytości cierpienia.

— Wiem, że jesteś mi wierny. Naprawdę przypuszczasz, że będziemy musieli się

wycofać?

— Wycofać? Dokąd?

— Hm, nie wiem.

— Za późno. Odwrót był możliwy wtedy, gdy Basaine czekał na waszą cesarską mość na pokładzie statku. O odwrócie można było mówić przed utratą Puebli, gdy droga do Veracruz stała jeszcze otworem... Teraz prawda jest taka: Meksyk i Veracruz zostaną zdobyte, a my poniesiemy klęskę.

— Będziemy walczyć.

— I... zginiemy!

— Nie chcę słyszeć o tym! Nie boję się śmierci na polu walki, ale nikt przecież nie odważy się targnąć na życie potomka Habsburgów. Byłaby to zbrodnia dokonana na pomazańcu bożym.

Mejia zaprzeczył ruchem ręki.

— Znajdą się tacy, najjaśniejszy panie. Mieszkańcy tego kraju nie uznają cesarza.

— Pomszczono by moją śmierć!

— Kto taki?

— Mocarstwa.

— Co zrobiły dotychczas Anglia i Hiszpania? Po prostu wycofały wojska. A Francja? Napoleon również wycofał się w samą porę. Jakież mocarstwo nas pomści?

— Historia — Maksymilian powiedział te słowa z najgłębszą wiarą. — Przyszłe pokolenia będą musiały potępić naszych sędziów.

— Historia? Przyszłe pokolenia? Może potępią, a może nie... Niech wasza cesarska mość łaskawie i obiektywnie rozważy to, co powiem. Prawdziwy Meksykanin nie uznaje cesarza Meksyku. Nazywa arcyksięcia austriackiego intruzem, który wbrew prawu skąpał kraj w morzu krwi.

— Generale, używa pan mocnych słów!

— Wyrażają one jasno poglądy republikańców, najjaśniejszy panie. Proszę nie zapominać o dekreście z 3 listopada.

— Nie mów mi o nim! — zawołał Maksymilian z głębokim niezadowoleniem.

— Nie mogę milczeć. Odradzałem podpisanie dekretu, niestety bezskutecznie. Od chwili, gdyśmy nazwali republikańców mordercami i tak ich zaczęliśmy traktować, mają podwójne prawo tak samo postępować z nami. Jeżeli arcyksiężę Maksymilian dostanie się w ich ręce, wytoczą mu proces, nie oglądając się na opinię mocarstw ani na głos historii.

— Byłoby to okropne!

— Rozstrzelają nas jak pospolitych morderców.

— Prędeż zginę z szablą w dłoni!

— Nie zawsze zdarza się sposobność do takiej śmierci.

— A więc jak uniknąć takiej śmierci? Jest jakiś sposób?

— Jest. Ale tylko jeden. — Jaki?

— Ucieczka.

— Nigdy!

— To ostatni ratunek.

— Nie chcę, nie mogę...

— Ja bym z tego skorzystał.

— Okrzyczano by pana tchórzem.

W oczach generała pojawiły się ostre błyski.

— Najjaśniejszy panie, mam nadzieję, że generał Mejia jest zbyt dobrze znany, aby go ktokolwiek uważał za tchórza. Czy ktoś nazwał Bonapartego tchórzem dlatego, że uciekł z Egiptu i Rosji? W obu przypadkach pozostawił wojsko, które nic już zdziałać nie mogło.

— Napoleon nie siebie chciał ratować, ale ideę cesarstwa.

— Pan również, najjaśniejszy panie.

— Wytrwam tu do końca.

— Jeszcze jeden przykład. Czy Karol Szwedzki stał się bohaterem, dlatego że zrezygnował z powrotu do ojczyzny?

— Postąpił jak szaleniec.

— W dodatku życiu jego nie zagrażało niebezpieczeństwo. A tu najobrzydliwsza śmierć czyha na waszą cesarską mość.

— Ale ucieczka i tak mnie nie uratuje. Cały kraj jest obsadzony przez wrogów.

Mejia był u kresu cierpliwości. Położył rękę na rękojeści szabli.

— Czyż wasza cesarska mość — zawołał — nie ma kilkuset węgierskich huzarów, gotowych oddać życie za cesarza?! Wraz z nimi zobowiązuję się bezpiecznie odprowadzić waszą cesarską mość na pokład statku.

— Nie wolno mi narażać wiernych żołnierzy.

— Pozostając tutaj i tak się ich narazi.

— Co się stanie z moimi generałami, jeżeli ucieknę? Zostaną ujęci?

— Czeka ich to w każdym wypadku.

— Kto wstawi się za nimi, gdy mnie tu nie będzie?

— I tak próśby waszej cesarskiej mości nic by nie zmieniły.

— Zginęliby wszyscy? Marquez, Miramon... Mejia odważył się przerwać cesarzowi:

— Najjaśniejszy pan sądzi, że potrafiłby uratować Miramona? Przede wszystkim on stanie przed sądem.

— Będę go bronił.

— Proszę wybaczyć, ale nikt nie zechce nawet słuchać waszej cesarskiej mości. Cały kraj uważa Miramona za zdrajcę.

— Generale!

— Mnie jako wtajemniczonemu wolno chyba tak twierdzić.

— Generale — ton Maksymiliana był jeszcze ostrzejszy. Mejia, nie zwracając na to uwagi, kontynuował:

— Jego obwinia się o wszystko, co zaszło.

— Żądam dowodów!

— Czy wasza cesarska miłość słyszał o Jackerze?

— Oczywiście.

— Otóż ten Szwajcar, zamieszkały we Francji, pożyczył ówczesnemu prezydentowi Miramonowi dla Meksyku siedem milionów franków: trzy miliony w gotówce, cztery w papierach bez wartości. Przekupiony Miramon dał Jackerowi oficjalne pokwitowanie ~ siedemdziesiąt pięć milionów. W ten sposób okradzione nasz kraj na sześćdziesiąt osiem milionów.

— Generale!

— Fikcyjny dług kupił pan Morny, mleczny brat Napoleona! Ponieważ Juarez nie chciał tej sumy wypłacić Francji, więc...

— Generale! — krzyknął Maksymilian jeszcze głośniej.

— ...więc Napoleon wprowadził swoje wojska do Meksyku!

— Ach, jestem współwinny! — przeraził się Maksymilian.

— Nie! Daleki jestem od takiej oceny. Niech mnie Bóg strzeże.

Uważam tylko za swój obowiązek zwrócić uwagę najjaśniejszego pana na głos ludu, który zmienić się kiedyś może w głos historii.

— Jest pan zuchwały.

— Chcę za wszelką cenę uratować waszą cesarską mość. W świetle tego co powiedziałem, chyba jest już oczywiste dla najjaśniejszego pana, że Miramon nie może liczyć ani na łaskę, ani na litość. Cesarz Maksymilian nie uratuje również Marqueza, Vidaurrego ani tych wszystkich innych, pod których rządami jęczy naród. Głowa waszej cesarskiej mości jest więcej warta niż życie tych ludzi. Najjaśniejszy panie, przyłączam głos swój do próśb i błagań

wszystkich wiernych sług i poddanych... Skorzystajmy z ucieczki. Proszę mi zaufać. Wróćmy do Europy. Zaprzeźdźmy na razie walki. Tak nakazuje rozsądek.

Mejia uklęknął przed cesarzem i ujął jego rękę.

— Nie mogę... — wyszeptał Maksymilian.

Mejia postanowił wygrać ostatni, najważniejszy atut.

— Może przynajmniej ją da się uratować. Może oczy jej nabiorą znów dawnego blasku na widok człowieka, do którego należy jej dusza, serce i życie. Czy ma umrzeć z rozpacz, gdy się dowie o haniebnej śmierci swego męża i władcy?

Cesarz ukrył twarz w dłoniach. Był wstrząśnięty. Zaczął łkać głośno.

— Najjaśniejszy panie! — szepnął błagalnie generał wciąż jeszcze klęcząc.

— Generale, poruszyłeś moją najczulszą strunę. Mejia wstał z klęczek.

— Wielki Boże, dzięki, że poruszyło się serce cesarza.

— Nie chcę — powiedział Maksymilian — aby moja Karolina żyła w nędzy i rozpacz, żeby się zadręczała z mojego powodu. A więc uważasz, generale, że ucieczka jest możliwa?

— Tak.

— Jak ją zorganizować? Potajemnie?

— Nie. Na to jestem za dumny! Nie znaczy to oczywiście, że wszyscy muszą wiedzieć. Na czele wiernych huzarów odprowadzę waszą cesarską mość na wybrzeże morskie.

— A republikanie?

— Nie boję się ich!

— Dowiedzą się o planowanej ucieczce i zagrodzą nam drogę.

— Przepuszczą nas.

— Ale dopiero wtedy, gdy odeprzemy atak. Chciałbym uniknąć przelewu krwi.

— Nie nastąpi, bo Juarez będzie nas ochraniał.

— Juarez? — zdumiał się cesarz. — Jak to? Juarez ma mnie osłaniać?

— Tak. Czy mogę przypomnieć seniorce Emilię, z którą najjaśniejszy pan parę razy rozmawiał?

— Przyznaję, że kilkakrotnie doradzała mi ucieczkę.

— Czy powoływała się na Juareza?

— Tak. Uważałem ją jednak za awanturnicę.

— Może nią jest. Ale Juarez posługiwał się tą kobietą w niejednej ważnej misji.

— Jest jego szpiegiem?

— Nie. Prowadzi tajne układy.

— Ma pan z nią jakieś kontakty?

— Tak.

— To może wzbudzić podejrzenia.

— Juarez nie chce pańskiej śmierci. Jednakże w momencie schwytania waszej cesarskiej mości przez republikanów będzie zmuszony wydać wyrok, i to w najwyższym wymiarze. Wysłał więc tę senioritę jako osobę zaufaną z poleceniem, by przekazała nam jego życzenie. Zwróciła się z tym do mnie.

— Czy powinienem z nią porozmawiać?

— To byłoby wskazane. Mogę zainscenizować spotkanie.

— Czy nie uważa pan, że zawiadomienie zauszników Juareza o ucieczce byłoby z mojej strony niedorzecznością? Zobaczą jednak, co ta kobieta mi powie. Niech ją pan sprowadzi!

— Właśnie jest w ogrodzie... Niech mi wasza cesarska mość raczy przebaczyć. Prosiłem Boga, aby skłonił cesarza do wysłuchania moich błagań. W przekonaniu, że Bóg mi pomoże, kazałem senioricie Emilii czekać w pobliżu.

— No już dobrze! Sprowadź ją, generale.

Mejia wyszedł. Na korytarzu natknął się na Miramona idącego w towarzystwie jakiegoś obcego człowieka. Generałowie wymienili chłodne ukłony i bez słowa przeszli obok siebie.

— Niech pan tutaj zaczeka — Miramon zwrócił się do Hilaria. Kazał się zameldować i wszedł do pokoju cesarza. Oddawszy honory wojskowe, spojrzał na twarz Maksymiliana. Od razu poznał, że musiał on rozmawiać z Meją. Postanowił więc działać szybko i zatrzeć dobre wrażenie, jakie z pewnością wywarł na cesarzu jego przeciwnik.

— Z czym pan przychodzi? — zapytał Maksymilian poważnym tonem.

— Mam bardzo ważną wiadomość, najjaśniejszy panie.

— Ważną? Ale z pewnością nie pocieszającą.

— Przeciwnie, nawet bardzo.

— Odzwyczailem się już od radosnych wieści.

— Wkrótce przyzwyczai się wasza cesarska mość do tego, że wraca szczęście!

Wyprzemy Juareza z Queretaro.

— Co?! — wykrzyknął cesarz.

— A Diaza ze stolicy i Puebli.

— To niemożliwe!

— Zmusi ich do tego powstanie wiernych nam wojsk. Cesarz podszedł do generała i zapytał patrząc mu prosto w oczy:

— Wybuchło powstanie? Przeciw Juarezowi?

— Tak. W wielu miejscowościach.

— Gdzie? Mów pan, generale!

— Przede wszystkim w Santa Jaga.

— To miasto leży na północ od Zacatecas, prawda? — Tak.

— A inne miejscowości?

— Wszystkie znajdują się na tyłach oddziałów republikańskich.

— Skąd ma pan te informacje?

— Od pewnego człowieka.

— Gdzie on jest?

— Czeka na korytarzu.

— Przyprowadził go pan ze sobą?

— Byłem przekonany, że wasza cesarska mość zechce usłyszeć to wszystko bezpośrednio od niego.

— Kim jest ten posłaniec?

— Znany lekarz, doktor Hilario, kierujący szpitalem w klasztorze della Barbara w Santa Jaga.

— Niech wejdzie!

Nikt, kto przed chwilą widział cesarza, nie mógłby uwierzyć, że to ten sam człowiek. Zmienił się nie do poznania. I zewnątrz, i wewnątrz. Oczy, niedawno wilgotne od łez, były pełne blasku, na policzki wystąpił rumieniec. Nie myślał już ani o odwrocie, ani o ucieczce. Bez reszty uwierzył w to, o czym powiedział mu Miramon.

— Nazywa się pan Hilario? — uprzejmie spytał doktora.

— Tak, najjaśniejszy panie — powiedział gość, kłaniając się nisko.

— Czy zajmuje się pan polityką?

— Nie. Opiekuję się chorymi.

— To bardzo pięknie. Opowiadano mi, że w pańskim zakładzie wybuchły jakieś niepokoje.

— Wasza cesarska mość ma na myśli powstanie w Santa Jaga?

— Tak. Jakie przyjęło rozmiary?

— Rozpoczęło je około dwustu osób, później przyłączyła się do nich ludność całego miasta i okolicy. Powstańcy uzbroili cywilów, wywiesili cesarskie sztandary na murach i

budynkach. We wszystkich kościołach zaczęto bić w dzwony. Potem porosyła umyślnych do sąsiednich gmin w celu tworzenia kompanii i pułków dla obrony waszej cesarskiej mości. Wieczorem powstańców było już około trzech tysięcy.

— Mówią, że w innych miejscowościach również chwycono za broń?

— Mam wykaz przy sobie.

Wręczył cesarzowi kartkę. Przeczytawszy, Maksymilian zwrócił się do Miramona:

— Wszystkie te miejscowości leżą na tyłach wojsk Juareza.

— Właśnie. To dla nas wielka szansa.

— Czy wszędzie powiodło się tak dobrze jak w Santa Jaga?

— Oczywiście. Ruch powstańczy rozszerza się jak ogień na; prerii. Według moich obliczeń na tyłach wojsk Juareza stoi trzydzieści tysięcy ludzi. Liczba ta stale wzrasta.

— Trzeba wyznaczyć odpowiedniego dowódcę.

— Jak widać, wasza cesarska mość ma wielu wiernych poddanych. Wojska republikańskie nie poradzą sobie, wkrótce zostaną pokonane.

— W każdym razie wystąpienia moich zwolenników mają dla nas strategiczne znaczenie.

— Najjaśniejszy pan zyska swobodę ruchów. Republikanie bowiem będą musieli przerzucić swe siły na północ, przeciw oddziałom powstańców.

W czasie tej rozmowy Mejia wrócił z ogrodu w towarzystwie Emilii.

— Czy najjaśniejszy pan jest sam? — zapytał lokaja.

— Nie. Przyjmuje generała Miramona i jakiegoś nieznajomego. Mejia zmarszczył czoło. Miał złe przecucia.

— Niech pani wejdzie tam razem ze mną! — powiedział do Emilii zdecydowanym tonem, choć zdawał sobie sprawę, że jest to wbrew etykietce.

Miramon spojrzał na niego nieprzychylnym wzrokiem, cesarz zaś podszedł z rozjaśnioną twarzą.

— Słyszał pan, generale, że nie ma już potrzeby realizowania naszego planu.

Miramon z trudem hamował wściekłość, że coś przygotowywano za jego plecami. Mejia skłonił się chłodno.

— Jeśli wasza cesarska mość pozwoli, to chciałbym być poinformowany, co spowodowało, że nasz plan okazał się zbyteczny.

— W dziesięciu miejscowościach na tyłach armii Eskobeda wybuchło powstanie przeciwko Juarezowi. Wojska Zapoteki będą musiały się cofnąć. To umożliwi nam rozpoczęcie ofensywy.

Mejia potrząsnął z niedowierzaniem głową.

— Wasza cesarska mość ma na to dowody?

— Tak. Oto bezpośredni świadek tych zająć — wskazał na Hilaria. Doktor przez cały czas stał prawie na baczność, odwrócony tyłem do drzwi. Nie zauważył, że wraz z Mejia weszła do pokoju Emilia.

— Kim pan jest? — zwrócił się do niego generał.

— Przedstawiłem już tego seniora jego cesarskiej mości — wyjaśnił Miramon pogardliwie.

— Nie wynika z tego, że nie mógłbym poznać tego pana.

Najjaśniejszy pan nie był łaskaw wymienić jego nazwiska, dlatego więc pytam.

— Doktor Hilario z klasztoru della Barbara w Santa Jaga. Mejia nawet nie usiłował ukryć zdumienia. Spojrzał na Emilię, potem skierował ostry, przenikliwy wzrok na doktora.

Po chwili poprosił cesarza:

— Czy wasza cesarska mość pozwoli, że zadam temu seniorowi kilka pytań?

— Proszę — odparł Maksymilian.

— Oto pierwsze z nich. Kto pana przysłał do Queretaro?

— Mieszkańcy Santa Jaga. Wraz z obywatelami innych miast stanęli po stronie najjaśniejszego pana. Jest nas około trzydziestu tysięcy, gotowych w każdej chwili zaatakować Juareza.

— Kto wami dowodzi?

— Jeszcze nie mamy wodza, prosimy o mianowanie.

— W takich przypadkach wysyła się delegację, nie zaś jednego człowieka. Gdzie pańskie dokumenty?

— Delegacja i dokumenty mogły łatwo wpaść w ręce Juareza, dlatego przyjechałem sam i miałem ustnie zrelacjonować wydarzenia.

— Mam nadzieję, że uczciwy z pana człowiek. Zna senior tę panią? Doktor odwrócił się. Poznał Emilię, zapanował jednak nad sobą i nie okazał żadnych uczuć.

— Owszem, znam — odparł ze spokojem. — To szpieg Juareza. Dziwię się, że widzę tutaj tę panią.

— Niemożliwe! — wykrzyknął Miramon, przyglądając się Emilii. Mejia przeszył go chłodnym wzrokiem.

— Jego cesarska mość wie, kim jest ta kobieta — powiedział. — Niedawno była w klasztorze della Barbara. Przekazała mi informacje, że nie wszystko jest tam w porządku i...

Domyślając się, co Mejia ma zamiar wyjawić, Miramon przerwał:

— Osobiste porachunki doktora Hilaria nic nas nie obchodzą. Dla nas ważna jest tylko jego misja.

— Nie wierzę w nią.

— Senior! Zabraniam panu! — zawołał Miramon. Mejia podszedł do niego.

— Cóż to za ton w obecności najjaśniejszego pana? Powtarzam, że nie wierzę temu człowiekowi, chyba że otrzymam dowody.

Cesarz podniósł rękę, uciszając generałów i zwrócił się do Miramona:

— Generale, pan sprowadził tego człowieka. Czy jest pan przekonany o prawdziwości jego słów?

— Tak, całkowicie.

— To mi wystarczy.

Zwracając się zaś do Mejii, powiedział stanowczym tonem:

— Ta pani nie jest mi już potrzebna. Może ją pan odprowadzić. Zacinawszy pięści, Mejia skłonił się i bez słowa wyszedł z Emilią.

— Zdrajca uprzedził mnie znowu!

Miramon opuścił pokoje cesarza razem z Hilariem. Wskazawszy doktorowi ventę, w której mógł zamieszkać, wezwał do siebie majora.

— No i cóż, senior, udało się? — zapytał szeptem Orbanez.

— Owszem, ale ciężką miałem przeprawę.

— Cesarz nie chciał uwierzyć?

— Nie cesarz, lecz Mejia.

— Mejia był już u cesarza wraz z seniorką Emilią?

— Tak. Jak Maksymilian się wygadał, powzięli nawet wspólnie jakiś plan, o którym nic nie wiem.

— Do licha, może chcieli uciec?

— Przypuszczam.

— Trzeba to sprawdzić! Ale jaka w tym rola Emilii?

— Bardzo wielka. Hilario twierdzi, że jest szpiegiem Juareza.

— Należy więc przypuszczać, że cesarz i Mejia zamierzali uciec przy jej pomocy, a więc pod pośrednią ochroną Juareza. Musimy temu za wszelką cenę zapobiec.

— Zrobiłem swoje. Cesarz ma zaufanie do mnie i do doktora Hilaria. Jest najlepszej myśli. Czekam na wiadomość, że zaatakowano tyły wojsk Juareza. Wyślę pułk, który upozeruje atak; Maksymilian będzie przekonany o wybuchu powstania i nie ruszy się z miejsca.

— Ale to chyba jeszcze nie wszystko. Może przecież powziąć jakieś podejrzenia.

— Był bliski tego. Seniorita Emilia zapewne przedstawiła Mejii naszego Hilaria w niezbyt pochlebnym świetle. Próbował o tym mówić, ale przerwałem mu.

— Musimy usunąć tę kobietę.

— Bezwarunkowo! Pozbawimy Meję dowodów, cesarza zaś i generałów osoby, która ułatwiłaby im ucieczkę. Trzeba będzie rozpuścić pogłoskę, iż potajemnie opuściła Meksyk. Cesarz wtedy będzie przekonany, że okłamano go i przestraszono się odpowiedzialności. Czy wie pan, gdzie mieszka seniorita Emilia?

— Tak. U starej seniory Mirandy. Jestem jej kuzynem, znam ten dom dokładnie.

— Może by tak dziś wieczorem wywołać niepostrzeżenie Emilię z domu?

— I co dalej?

— Cesarz nie powinien niczego się domyślać. Wywieziemy tę kobietę do Tuli i wytoczmy proces jako szpiegowi. Pułkownik Lopez jest człowiekiem godnym zaufania i umie milczeć. Możemy być pewni, że w jego rękach Emilia będzie „bezpieczna”.

NIEFORTUNNE PORWANIE

Podczas gdy Miramon i Orbanez omawiali plan porwania Emilii, seniorita wróciła do domu. Zorientowała się, że jej rola skończona i zaczęła przygotowywać się do wyjazdu. Nagle usłyszała odgłos męskich kroków. Ktoś zatrzymał się przed drzwiami. Po chwili służąca zapukała i zapowiedziała odwiedzin.

— Dwaj seniores chcą mówić z panią. Jeden przedstawił się jako senior Unger, drugi Strau... Strau... Strau... ber... tak, Straubenberger.

Do pokoju weszli Kurt i Mały Andre. Zobaczywszy Francuza, Emilia wyciągnęła ręce i zawołała z radością:

— Co za niespodzianka! Senior Andre! Skąd pan tutaj? Andre rozejrzył się ostrożnie dokoła. Przekonawszy się, że służąca wyszła, odparł cicho:

— Od Juareza.

— Naprawdę? To bardzo niebezpieczna misja. A kim jest pana towarzysz?

— Słyszała pani o dwóch braciach Ungerach?

— O tak! Ma pan na myśli Piorunowego Grota i kapitana?

— Oczywiście. Oto senior Kurt, syn kapitana. Przybył z Niemiec, aby odnaleźć swoich bliskich zamieszanych w sprawy rodu Rodrigandów. Niedawno pomógł nam uratować się z kolejnej niewoli.

— Niech pan opowiada!

Kiedy Francuz skończył, Kurt poinformował senioritę o celu ich przyjazdu do Queretaro.

— Jak to? — zdziwiła się Emilia. — Chce pan rozmawiać z cesarzem? Czy mogę wiedzieć o czym?

— Niestety, nie! Muszę milczeć, choć jestem przekonany, że jest pani godna pełnego zaufania.

— Jak długo zamierza pan tutaj pozostać?

— Nie wiem dokładnie. To zależy od tego, jaką i kiedy otrzymam odpowiedź od cesarza. W każdym razie chciałbym wrócić do Juareza jak najszybciej.

— Zabierze mnie pan z sobą? Czuję się tu bardzo niepewnie i samotnie.

— Oczywiście, zabierzemy panią! — zawołał Mały Andre z entuzjazmem.

— Kiedy wybiera się pan do cesarza?

— Natychmiast.

— Zobaczą panów jeszcze dzisiaj? Może po dziewiątej wieczorem? Trzeba panom wiedzieć, że przyjęcia odbywają się tutaj bardzo późno.

— Przyjedziemy, seniorito. Prawda Andre?

— Z pewnością.

Wyszli. Andre wrócił do wenty, Kurt zaś udał się do klasztoru La Gruz. Wpuszczono go i poddano skrupulatnemu przesłuchaniu. Dopiero po sprawdzeniu dokumentów pozwolono mu wejść do przedpokoju. Zameldowano go natychmiast, mimo iż wiele osób czekało na audiencję. Po dziesięciu minutach został wprowadzony do cesarza.

Staął przed człowiekiem, o którym mówił cały świat, którego jedni wychwalali pod niebiosa, inni — a liczba ich była olbrzymia — potępiali.

Maksymilian spojrział na Kurta, zdziwiony jego młodym wiekiem i wyglądem.

— Zameldowano mi porucznika Ungera... — powiedział.

— Nazywam się Unger i jestem porucznikiem, najjaśniejszy panie.

— Był pan w stolicy.

— Niedawno.

— Przybywa senior od pana von Magnusa?

— Niestety, nie.

Cesarz darzył sympatią von Magnusa, dlatego wymieniając jego nazwisko, uśmiechnął się. Gdy Kurt zaprzeczył, spoważniał, i zapytał:

— A więc jaka sprawa przywiodła pana do mnie?

— Prywatna, najjaśniejszy panie.

— To znaczy chodzi o pańską osobę?

— Nie, najjaśniejszy panie. Przybywam z Zacatecas.

— Z Zacatecas? — powtórzył jak echo cesarz. — Z głównej kwatery Juareza?

— Tak.

— Jak się senior dostał do niego, będąc pruskim oficerem?

— Jako osoba prywatna. Przez lata był przyjacielem i obrońcą członków mojej rodziny.

— A teraz przysłała pana do mnie?! Niemożliwe! — Maksymilian zachmurzył się. — Czy uważa mnie pan za człowieka utrzymującego stosunki z Juarezem?

— Skądże znowu! Przyjechałem tu z inicjatywy kilku wybitnych osobistości... — zawiesił głos — z najbliższego otoczenia Zapoteki. Choć może to się wydać waszej cesarskiej mości nieprawdopodobne, pański los leży im bardzo na sercu.

— Ale zaszczyt mnie spotkał! — zawołał cesarz z drwiną. — Co więc senior ma mi

przekazać?

— Polecono mi wręczyć waszej cesarskiej mości pewne pismo. Musiałem jednak dać słowo honoru, że je zniszczę, jeśli wasza cesarska mość nie zechce się nim posłużyć.

— To brzmi bardzo tajemniczo. Proszę pokazać to pismo! Kurt wyjął z portfela list Juareza i podał cesarzowi. Maksymilian czytał uważnie. Z początku zdumienie odbiło się na jego twarzy, później ściągnął gniewnie brwi.

— Kto jest autorem tego listu? — zapytał oschłym tonem.

— Jak to kto? — zdziwił się Kurt. — Czyżby wasza cesarska mość nie poznał podpisu Juareza?

Każdy można sfalszować!

— Najjaśniejszy panie, jestem oficerem! Maksymilian przeszył Kurta ostrym wzrokiem.

— Nie wątpię w pana uczciwość. Ale proszę powiedzieć: czy Juarez podpisał dokument w pańskiej obecności?

— Tak.

— W dalszym jednak ciągu nie rozumiem: Dlaczego napisał ten list?

— Osoby, o których wspominałem, błagały go o to.

— A więc Zapoteka przypuszcza, że zamierzam uciec?

— Nie. On tak nie myśli. Ci jednak, którzy dobrze panu życzą, są przekonani, że to jedyny ratunek dla waszej cesarskiej mości.

— Młodzieńcze, niech pan nie zapomina, o kim pan mówi!

— Z całym szacunkiem dla najjaśniejszego pana...

— W myśl tego pisma — przerwał cesarz — powinienem się oddać pod pańską opiekę, prawda?

— Tak.

— Jakże mógłbym zawierzyć moje życie tak młodemu człowiekowi?!

— Juarez nie ma wątpliwości, że wywiążę się z tej misji. Wasza cesarska mość także może mi całkowicie zaufać.

— Nie przyjmuję tej propozycji. Ucieczka byłaby szaleństwem! Niech pan zabierze glejt!

Kurt schował dokument do portfela, nie dawał jednak za wygraną.

— Uważam za swój obowiązek zwrócić uwagę waszej cesarskiej mości — powiedział — że to ostatnia rzecz, jaką Benito Juarez może zrobić dla pana.

— Nie chcę mieć wobec niego żadnych długów wdzięczności.

— Pozwalam sobie dodać, że został zawiązany spisek, który ma na celu obalenie Juareza. Pan będzie narzędziem. Zmuszą Zapotekę do zamordowania waszej cesarskiej mości, a następnie usuną go za to.

— To brzmi jak bajka!

— Taka jest jednak rzeczywistość. Ponieważ Juarez może wydać na waszą cesarską mość wyrok tylko wtedy, gdy wpadnie pan w jego ręce, spiskowcy nie cofną się przed niczym, byle cesarz Maksymilian pozostał w Queretaro!

— Skąd pan o tym wie?

— Zaraz wyjaśnię. Czy był tu niejaki doktor Hilario z Santa Jaga?

— A co to pana obchodzi?

— Otóż lekarz jest wykonawcą zleceń przywódców spisku. Jego relacje mijają się z prawdą.

— Już rozumiem. Juarez obawia się o swoją prezydenturę — w tonie cesarza znów pojawiła się drwina. — Dlatego nie chce mnie schwytać i nakłania do ucieczki.

— Oświadczam pod słowem honoru — Kurt mówił dalej nie zrażony — że Zapoteka napisał ten list w dobrej wierze, przychyłając się do próśb kilku osób, w tym moich. Juarez nie prowadzi podwójnej gry, nie cierpi wszelkiego matactwa. Nawet wobec swych wrogów. Jeśli więc zdobył się na ten szlachetny gest, zasługuje chyba na szacunek i uznanie waszej cesarskiej mości i należy mu zaufać.

Po tych słowach Kurt skłonił się i wyszedł. Cesarz nawet go nie zapytał, czy pozostanie w Queretaro, czy też opuści miasto. A przecież powinien był zatrzymać człowieka, który wszystko to, co widział w jego kwaterze, mógł wyjawić Juarezowi. Zadufany w sobie, zmarnował lekkomyślnie ostania szansę ratunku.

Kurta ogarnęło przygnębienie, nie chciało mu się wracać do venty. Zatopiony w rozmyślaniach, włączył się po mieście do wieczora. Dopiero z nadejściem mroku dotarł do zajazdu. Mały Andre czekał już na niego z kolacją.

— Udało się? — zapytał.

— Niestety nie. Cesarz łudzi się jeszcze, że pokona Juareza.

— No to rozczaruje się gorzko.

O dziewiątej wieczorem, tak jak się umówili, Emilia czekała na gości. Kilka minut przed godziną dziewiątą usłyszała pod drzwiami kroki. Po chwili, nie zapukawszy nawet, ktoś wszedł do pokoju.

Obejrzała się zaniepokojona. Przestrach minął, kiedy okazało się, że to major Orbanez.

Skłonił się uprzejmie.

— Wybacz, seniorito, że przyszedłem bez zapowiedzenia, i to w tak nieelegancki sposób. Ale mam do pani ściśle poufną sprawę. Była dziś pani z generałem Mejią u cesarza. Jego cesarska mość nie mógł jednak z panią rozmawiać ze względu na obecność Miramona i innych osób. Chce więc teraz spotkać się z panią, przedstawić jej pewne plany i dowiedzieć się szczegółów o doktorze Hilariu.

— Zaprowadzi mnie pan do cesarza?

— Tak. Stosownie do życzenia najjaśniejszego pana wizyta ma się odbyć w tajemnicy.

— Spełnienie woli cesarza uważam za mój obowiązek. Muszę jednak przed wyjściem powiedzieć służącej...

— Proszę tego nie robić! Nikt nie powinien wiedzieć, dokąd się pani wybiera.

— Pan mnie nie zrozumiał, powiem jej tylko, by przekazała gościom, których oczekuję, że wrócę za godzinę.

— W porządku! Służąca jest na dole, u gospodyni. Będę na panią czekać przed domem.

Kiedy Orbanez wyszedł, Emilia szybko się przebrała. Zbiegła ze schodów i przechodząc przez izbę jadalną zawołała do służącej:

— Będę z powrotem za godzinę! Major stał na ulicy.

— Jestem do pańskiej dyspozycji — zwróciła się do niego.

— Nikt się nie domyśla, dokąd pani idzie?

— Nikt.

— Chodźmy więc!

Emilia nie zdążyła nawet zrobić paru kroków, gdy ktoś chwycił ją mocno z tyłu.

— Ratun...

W tym momencie zakneblowano jej usta chustką, skrępowano ręce i nogi, a drugą chustkę zawiązano na oczach. Poczowała, że ktoś ją posadził na konia i sam usadowił się za nią, trzymając tak mocno, że nie mogła wykonać najdrobniejszego ruchu.

Konie cwałowały czas jakiś po bruku, potem pędziły galopem po wiejskiej drodze. Oddychała z wielką trudnością. Wydawało się jej, że jazda trwa wieki. Nareszcie stanęli. Usunięto jej chustkę z oczu i knebel z ust. Odetchnęła pełną piersią.

— Na miłość boską, co wyprawiacie ze mną?! — zawołała oburzona. — Co wam zawiniłam? Musieliście się pomylić, seniores!

— O nie! Dobrze wiemy, jakiego schwytaliśmy ptaszka! — odpowiedział z ironicznym uśmiechem ten, który siedział za nią na koniu.

— Czego ode mnie chcecie?

— Stul pysk! Dowiesz się, gdy nadejdzie odpowiednia pora. Z takimi kobietami jak ty postępuje się bez ceregieli. Dla ciebie stryczek byłby zaszczytem! Dalej pojedziesz sama. Przywiążę cię tylko do konia, żebyś nam nie uciekła! Nie opieraj się, nie próbuj krzycheć ani żadnych innych sztuczek, bo kulka w łeb!

Jechali w milczeniu. Po blisko trzech godzinach zatrzymali się przed ventą, samotnie stojącą przy drodze. Przez okiennice przedostawało się światło.

— Zobacz no, Diego — poleciał pułkownik Lopez — kto tam jest w środku.

Żołnierz zsiadł z konia i zajrzał przez szparę.

— Kilku vaquerów, najwyżej pięciu.

— Wejźmy więc i napijmy się czegoś. Babę odwiąż i wprowadź do gospody! A ty — zwrócił się do Emilii — pamiętaj: ani mru, mru!

Punktualnie o dziewiątej Kurt i Mały Andre znaleźli się w pobliżu domu Emilii. Nagle usłyszeli wołanie:

— Ratun...

— Ktoś wzywa pomocy — szepnął Mały Andre.

— Chyba kobieta...

— Nie dokończyła słowa. Pewno zakneblowano jej usta.

— Biegnijmy więc! O, tam, gdzie światło latarek.

— Spokojnie, poruczniku! Lepiej podkraść się i przyjrzeć z ukrycia, co się tam dzieje!

Starając się iść jak najciszej dotarli do otwartej bramy. Właśnie ruszało spod niej kilku jeźdźców.

— Szczęśliwej drogi do Tuli! — zawołał mężczyzna stojący z boku. W okamgnieniu Kurt znalazł się obok niego i złapał go za ramię.

— Co się tu dzieje? — zapytał.

— Nic! — syknął schwytyany. Szybko odwrócił się i zaczął uciekać. Kurtowi pozostał w garści tylko surdut.

Mały Andre chciał gonić zbiega, ale Kurt go zatrzymał.

— Dlaczego mamy pozwolić uciec draniowi? — zaperzył się Andre.

— A po co nam on! I tak milczałby jak zaklęty.

— Pan coś podejrzewa? W związku z senioritą Emilią?

— Przekonamy się zarazi. Chodźmy do niej.

Szybko weszli do sieni gospody, a stamtąd po schodach na górę. Drzwi pokoju Emilii były nie zamknięte. Wrócili na dół. Na ganku zjawiała się służąca.

— Panowie do kogo? — spytała.

— Senioritą Emilia w domu?

— Nie. To z panami była umówiona? — Skinęli głowami. — Powiedziała, że musi wyjść i przyjdzie za godzinę. Przybył po nią adiutant generała Miramona.

— Czy zna pani ten surdut?

— Wielkie nieba! Jakże miałabym nie znać! Toć właśnie w nim chodził ten adiutant, major Orbanez, krewniak mojej gospodyni.

— Dziękuję. Cenna to dla nas informacja. Seniorita wkrótce wróci. Niech pani zamknie jej pokój i nikomu nie wydaje kluczy.

— Do licha! — mruknął Andre, gdy odeszli kilka kroków. — Nie ulega wątpliwości, że senioritę Emilię uprowadzono. Na szczęście, dzięki temu idiocie adiutantowi, wiemy, dokąd ją porwano. Jedźmy więc natychmiast do Tuli.

— Zna pan drogę?

— Tak. Nieraz już tamtędy przejeżdżałem.

Kiedy regulowali rachunek w gospodzie, oberżysta był niepokieszony, że tak szybko go opuszczają. Poszedł za nimi do stajni.

— Dokąd wam tak spieszno, seniores? — mówił. —i tak w nocy nie wydobędziecie się z miasta. Po zapadnięciu zmroku nikomu nie wolno stąd wyjeżdżać.

— Nie martw się pan o nas, senior — roześmiał się Kurt. — Co dla jednych jest nocą, dla innych może być dniem. Adios!

Wskoczyli na konie i pogalopowali w kierunku rogatek. Przy bramie wyjazdowej stał wartownik.

— Zatrzymać się! — zawołał.

— Oficerów nie chcesz przepuścić?

— Jakich oficerów?

— Jesteśmy adiutantami generała Meji.

— Droga wolna. Już otwieram bramę.

— Powiedz no, kochaneczku, czy przed pół godziną nie przejeżdżało tędy kilku jeźdźców?

— Owszem. Pułkownik Lopez z towarzyszami.

— Czy wieźli jeńca... kobietę?

— Tak. Bardzo się spieszyli, bo zaraz za bramą popędzili galopem.

— Mamy rozkaz ich dogonić. Dziękuję! — Kurt rzucił żołnierzowi srebrną monetę.

Gdy oddalili się na tyle, że wartownik nie mógł ich usłyszeć, Mały Andre zawołał:

— Ależ dyscyplina w tym Queretaro! Nawet hasła nie mają!

— Tym lepiej dla nas.

— Już szykowałem się do zdzielenia kolbą żołnierza i wyrwania mu kluczy.

— Szkoda by go było, to Bogu ducha winny dureń.

Jechali galopem kilka godzin, na próżno wypatrując jeźdźców. Wreszcie ujrzeli przy drodze ventę.

— Może tu wstąpili? — zastanawiał się Mały Andre.

— Niewykluczone. Przed gospodą stoją jakieś konie.

— Rzeczywiście! Wiwat, alleluja, mamy ich!

— Jeszcze nic nie wiadomo. W każdym razie działać trzeba rozważnie. Przywiążemy konie trochę dalej i wejdziemy do gospody jakby nigdy nic. Jeśli zobaczymy senioritę, będziemy udawali, że jej nie znamy.

Z oberży dochodził gwar rozmów i rubasznych śmiechów. Kurt i Mały Andre przez szpary w okiennicach zlustrowali wnętrze. Przy jednym stole siedział oficer i czterech żołnierzy, przy drugim kilku vaquerów, głębiej koło pieca, Emilia.

Gdy wchodzili do środka, pułkownik Lopez poderwał się na równe nogi. Przekonawszy się, że jest ich tylko dwóch, usiadł z powrotem, przyglądając im się jednak badawczo.

Podeszli do wolnego stolika przy drzwiach. Zaraz znalazł się przy nich oberżysta.

— Co podać? — zapytał.

— Trzy szklanki wina — zamówił Mały Andre.

— Trzy? Panów jest przecież tylko dwóch!

— Niech cię o to głowa nie boli!

Do rozmowy wmieszał się pułkownik:

— Kim jesteście, seniores?

Mały Andre siedział tyłem. Odwrócił głowę i popatrzył wrogo na Lopeza.

— Co to pana obchodzi?

— Odpowiadaj! Nie wiecie, kim jestem? — huknął oficer.

— Nie wiemy i wcale nie chcemy wiedzieć.

— Co to za bezczelność! Chyba oszalałeś, człowieku?! Lopez podniósł się i podszedł do stołu.

Zobaczywszy Kurta i Małego Andre, Emilia nie wątpiła, że przybyli, aby ją ratować. Nie zdradziła się jednak najmniejszym gestem. Teraz zdjął ją lęk o Małego Andre. Francuz natomiast nie wyglądał na przestraszonego. Spojrzał prosto w oczy pułkownika i powiedział

zaczepnie:

— Jeden z nas dwóch oszalał na pewno.

— Jak śmiesz!

W tejże samej chwili Mały Andre walnął pułkownika pięścią w głowę tak silnie, że Lopez osunął się na podłogę, po czym wskoczył na niego, przycisnął kolanami i chwycił za gardło. Czterej żołnierze zerwali się z krzesel, ale Kurt powstrzymał ich rewolwerem.

— Stać! — rozkazał. — I nie ruszać się, bo kula w łeb!

Widać nie należeli do odważnych, bo natychmiast usiedli z powrotem. Vaquerzy i gospodarz, przyzwyczajeni do scen tego rodzaju, nie mieszały się do awantury.

— Co z pułkownikiem? — zwrócił się Kurt do Małego Andre.

— Chwileczkę — poczęstował Lopeza jeszcze jednym uderzeniem w głowę. — Na dzisiejszy wieczór powinno wystarczyć.

Korzystając z tego, że Kurt trzyma żołnierzy na muszce, wstał i rozejrzał się po izbie. Pod jedną ze ścian leżał zwój sznurów. Zatarł ręce z radości. Niewiele chwil minęło, jak wszyscy żołnierze mieli mocno związane ręce i nogi. Potem ten sam los spotkał pułkownika.

Kurt opuścił rewolwer i podszedł do oberżysty.

— Nikomu — powiedział — nie wolno stąd wyjść bez naszego pozwolenia. Nikomu nic nie grozi, pod warunkiem, że się zastosuje do naszych poleceń.

Mały Andre zbliżył się do Emilii.

— Musiała pani przeżyć straszne chwile. Zjawiliśmy się pod pani domem w tym momencie, jak się później okazało, gdy panią porywano. Gdybyśmy tam byli kilka minut wcześniej, nie doszłoby do tego. Ale wszystko dobre, co się dobrze kończy! Napije się pani z nami, prawda?

Zaprowadził Emilię do stołu i podał jej ową trzecią szklanę.

— Widzicie, gospodarzu, dla kogo było to wino? — roześmiał się.

Emilia nie wiedziała, jak dziękować wybawcom. Gdy wznosili toast za szczęśliwe uwolnienie seniority, rozległ się tętent konia. Po kilku sekundach ucichł i dały się słyszeć ciężkie kroki. W drzwiach stanął niski grubas — Arrastro. Widząc związanych żołnierzy, chciał się wycofać, ale Mały Andre był szybszy. Podbiegł i chwycił go za rękę.

— Zaczekaj, ptaszku! Kto tu raz wszedł, ten musi pozostać przynajmniej tak długo jak my.

— Ależ, senior, co to ma znaczyć? Czy już nie wolno napić się w oberży szklanki wina?

— Wypij nawet dziesięć! Wtedy my będziemy gotowi i będziesz mógł pójść, dokąd

zechcesz.

— Co to, to nie — wtrącił Kurt z chytrym uśmiechem. — Ten senior odprowadzi nas do Juareza.

Grubas zbladł jak ściana.

— Ja? Niby dlaczego? — wykrztusił.

— Prezydent ma ochotę poznać pana. Gdzie senior był dzisiaj?

— W Queretaro i okolicy. Jestem kupcem. Jeżdżę w interesach.

— To prawda. Kupczy pan kłamstwami, pańskim interesem jest zdrada!

— Wielki Boże, pan się myli! — głos Arrastra drżał z przerażenia.

— Mylę się? Zaraz się przekonamy! Czy bywał pan w Santa Jaga?

— Nie.

— A czy zna pan doktora Hilaria i jego bratanka Manfreda?

— Nie znam.

— Pan kłamie. Sam widziałem seniora w ich mieszkaniu!

— To niemożliwe!

Kurt wymierzył grubasowi tak potężny policzek, że Arrastro zatoczył się i uderzył głową o ścianę. Po chwili jęknął:

— Krzywdzi mnie pan. Ten, którego pan widział, musi być moim sobowtórem.

— Dość tych łgarstw! Czy nie rozmawiał pan w środę wieczorem w pokoju doktora z jego bratankiem? Czy nie mówił senior, że do Santa Jaga przybędzie dwustu żołnierzy, których Manfredo ma poprowadzić do klasztoru?

Arrastro patrzył na Kurta z coraz większym strachem.

— Nie — dalej kłamał w żywe oczy.

— Żołnierze mieli opanować klasztor. Celem tajnego związku, do którego pan należy, było zatrzymanie w Meksyku Maksymiliana; chcieliście mu wmówić, dając między innymi za przykład rzekomy bunt w Santa Jaga, że lud stanął za nim. A faktycznie szło wam o to, by cesarz wpadł w ręce Juareza i został skazany na śmierć. Wtedy ogłosilibyście Zapotekę mordercą.

— To nieprawda! O niczym takim nawet nie słyszałem.

— Dość tego! Nie będę sobie dłużej strzępił języka! Nie jestem sędzią. Za to on zmusi pana do wyśpiewania całej prawdy o waszym zbrodniczym związku; wymienisz mu, senior, po kolei wszystkie nazwiska i wyliczysz wszystkie przeprowadzone i planowane akcje. A teraz przywiążemy cię do konia i zabierzemy ze sobą. Pomóż mi, Andre!

Szybko uporali się z grubasem. Potem pomogli Emilii dosiąść wierzchowca i sami

wskoczyli na swoje.

— Łap, gospodarzu! — zawołał Kurt, rzucając złotą monetę. — To za wino!

Ani się kto obejrzał, gdy za trzema jeźdźcami tylko się kurzyło na drodze.

Aby dotrzeć do przednich straży Juareza, musieli okrążyć Queretaro. Natknęli się na nie wcześniej, niż przewidywali, Zapoteka bowiem rozpoczął tymczasem ofensywę i był ze swym wojskiem znacznie bliżej, niż się spodziewał generał Mejia. Toteż Kurt z towarzyszami już około południa trafił na silny oddział, należący do korpusu generała Veleza.

Skierowano ich do kwatery głównej. Velez widział Kurta u Juareza i znał dobrze Emilię. Był to człowiek pełen temperamentu, surowy, często bezwzględny republikanin. Kazał sobie opowiedzieć, co zaszło, i przyprowadzić Arrastra. Przyglądał mu się długo w ponurym milczeniu.

— Przeczyłeś temu, co ci ten senior zarzuca? — zapytał wreszcie.

— Przeczyłem, ponieważ to nieprawda — odparł grubas. — Nazywam się Perdido, handluję siodłami.

Velez uśmiechnął się ironicznie.

— A jeżeli wiem o tobie jeszcze więcej niż ten senior?

— W takim razie pan też się myli.

— Łotrze! Czy znałeś kiedyś niejakiego Taverę?

— Nie — wystękał, blady jak ściana.

— Taverę, który wydał generała Tonamente najeźdźcom?

— Nie znam go, senior.

— Nie? A może przypomnisz sobie inne nazwisko. Na przykład Arrastro?

Pod grubasem nogi się ugięły.

— Nie senior! Nie wiem, o kim pan mówi.

Przesłuchanie odbywało się na wolnym powietrzu. Generał stał dwa kroki przed jeńcem. Widać było, że opanowuje się całą siłą woli, aby nie wybuchnąć.

— Draniu, masz odwagę popelniać zbrodnie, a przyznać się do tego nie potrafisz?! — zawołał. — Nazwał się Perdido, co oznacza „zgubiony”. Rzeczywiście, jesteś zgubiony. Demaskuję cię: przed kilkoma miesiącami sąd wojenny w Monterrey skazał cię na karę śmierci przez powieszenie. Udało ci się zbiec, ale teraz koniec z tobą!

Arrastro trząsł się ze strachu i bełkotał coś niezrozumiale.

— Ogłaszam wyrok — ciągnął generał. — Powiesić go na największej gałęzi!

Dwóch żołnierzy zarzuciło sznur dokoła szyi Arrastra i pchnęło go w kierunku najbliższego drzewa, nie zwracając uwagi na błaganie skazańca.

— Generale — ośmielił się odezwać Kurt — może on nam będzie jeszcze potrzebny? Może coś wyzna, wymieni nazwiska wsporników albo...

— To mi zupełnie obojętne! — przerwał Velez. — Podciągnąć go wysoko! Niech świat się dowie, jak republikańska armia rozprawia się ze zdrajcami!

Jeden gwałtowny ruch i Arrastro na zawsze opuścił ziemię. Wyrok został wykonany.

Tego samego popołudnia wrócił do Queretaro pułkownik Lopez z czterema żołnierzami. Można sobie wyobrazić jego nastrój. Przygnębiony i wściekły zameldował się natychmiast u Miramona.

Generał słuchał uważnie jego relacji.

— Coś takiego! — nie ukrywał zdziwienia. — Dwóch mężczyzn obezwładniło was? Dokąd zabrali kobietę?

— Vaquerzy powiadają, że do Juareza.

— Chwała Bogu! W takim razie możemy być pewni, że cesarz nigdy już jej nie zobaczy. Dlatego wybaczam panu niespełnienie rozkazu. Mam nadzieję, że następne polecenia będzie pan wykonywał starannie i ostrożnie.

Pułkownik domyślał się o co chodzi, nie odezwał się jednak ani słowem.

Od tej chwili wypadki w Meksyku potoczyły się z zawrotną szybkością. Wojska pod dowództwem generała Escobeda zbliżyły się do Queretaro i opasały miasto. Piętnaście tysięcy żołnierzy Maksymiliana zostało otoczonych dwudziestoma pięcioma tysiącami republikanów. Rozpoczęło się oblężenie. Równocześnie armia Porfiria Diaza oblegała stolicę; niebawem zapanował w niej straszliwy głód.

Kurt nie chciał stać na uboczu wydarzeń. Przyłączył się do saperów i objął dowództwo robót ziemnych. Sternau działał jako lekarz. Juarez przeniósł siedzibę swego rządu do San Luis Potosi. Przez cały czas towarzyszył mu lord Dryden. Można sobie wyobrazić, jak się ucieszył lord, gdy się dowiedział że jego przyjaciele są na wolności. Gdy im serdecznie gratulował, był głęboko wzruszony.

Kiedy tylko droga do portu została uruchomiona, Sternau napisał do domu list, zawiadamiając, że wszyscy wyszli cało z opresji. Och — marzył — jakże chciałbym już być wreszcie w starym, kochanym Reinswalden!

A w Reinswalden siedział sobie w fotelu na biegunach kapitan Rodenstein i przeglądał dokumenty. Stary leśniczy postarzał się i posiwiiał. Dziś właśnie dręczył go straszliwy atak podagry.

Wszedł Ludwik i czekał, kiedy pan raczy go zauważyć. Kapitan odwrócił się, popatrzył na niego spod oka i rzekł wreszcie:

— Dzień dobry, Ludwiku.

— Dzień dobry, panie kapitanie.

— Co nowego? Żadnej kradzieży? Żadna krowa się nie ocielila?

— Nie.

— Niech cię wszyscy diabli wezmą z twoim wiecznym „nie”! O, do pioruna!

Wykonał zbyt gwałtowny ruch, co wywołało nowy atak bólu. Wykrzywił się okropnie i fuknął:

— Bodajbyś był leśniczym i miał podagrę!

— A chciałby pan być ewentualnie Ludwikiem bez podagry? Ja też mam swoje cierpienia, panie kapitanie.

— Jakież to na przykład?

— Niska pensja.

— Do krośset kartaczy! A to nikczemność. Au! Au! Zejdź mi z oczu, bo gotów jestem rzucić ci w twarz fajkę, aż ci podwyżka na nosie wyrośnie! Hola, nie słyszysz pukania? Któż to idzie?

— Ewentualnie nie wiem — odparł Ludwik obojętnym głosem.

— Otwórz więc drzwi i zobacz, ośle!

— Wedle rozkazu, panie kapitanie!

Ludwik odwrócił się, uchylił nieco drzwi, ostrożnie wysunął głowę i rzekł po chwili:

— Listonosz.

— Popatrz no, co przynosi!

— Wedle rozkazu, panie kapitanie. Po chwili wrócił z listem w ręku.

— Skąd? — zapytał kapitan niecierpliwie.

— Hura, z Meksyku!

— Skąd? Z Me... Me... Meksyku? Naprawdę?

— No tak, z Meksyku!

— Boję się, że mnie z radości diabli porwą! Wyrzucam ten stary grat! Dziś napychamy drugą. Rozumiesz? — cisnął przez okno fajkę; spadła na podwórze wraz z odłamkami stłuczonej szyby.

— Wedle rozkazu! — mruknął Ludwik. — Najpierw mnie w głowę, potem w szybę i przez okno. Wolałbym ewentualnie dostać ją w podarunku.

— Zejdź na dół i weź sobie.

Ale Ludwik nie kwapił się do tego. Był niezwykle ciekaw treści listu.

Stary leśniczy otworzył kopertę i zaczął czytać. List zawierał krótką wiadomość, że

Kurt uratował wszystkich zamieszanych w sprawę rodu Rodrigandów. Bliższe szczegóły przyniesie list następny.

Przeczytawszy radosną nowinę parę razy, kapitan zerwał się z krzesła i przewracając je, wrzasnął:

— Hura, uratowani, wszyscy uratowani! Przez Kurta! A to dopiero szczęście! Gaudeamus igitur! Reszta w następnym długim liście! A to kochane chłopcy. Ludwik patrzył na leśniczego ze zdumieniem.

— Ależ panie kapitanie, nie odczuwa pan kapitan żadnych bólów? Nic nie strzyka, nie łamie...?

— Co ma łamać, u diabła?

— No, ewentualnie podagra.

Stary teraz dopiero przypomniał sobie podagrę. Uderzywszy kilka razy nogą o podłogę, zawołał:

— Ludwiku, nie ma jej! Nie ma! Bogu niech będą dzięki!

— To dziwne — Ludwik z niedowierzaniem kręcił głową.

— W rzeczy samej. Czyja to zasługa?

— Albo radości, albo listu.

— Radości, ośla głowo! W dodatku list jest adresowany do mnie, do mnie! A to zuch ze Sternaua. Leć do kuchni, powiedz, niech dziś przygotowują świąteczny obiad. Ja zaś pobiegnę do willi Rodrigandów.

Nie trzeba dodawać, że jej mieszkańcy, zapoznawszy się z treścią listu, nie posiadali się ze szczęścia. A stary leśniczy, widząc ich rozjaśnione twarze, już zupełnie zapomniał o chorobie.

TROPEM ZBRODNIARZY

Wojska Juareza powoli, ale systematycznie wydzierają kolejne prowincje i miasta z rąk wroga. Ludność powszechnie popierała prawowitego prezydenta. W Meksyku zapanowała radość.

Inny nastrój panował wśród najemników, sprowadzonych przez Arrastra w celu zdobycia klasztoru della Barbara, a teraz uwięzionych w jego lochach. Oczekiwali spotkania z Juarezem i sądu. Zastanawiali się, jak potraktuje ich prezydent, liczyli wszakże na pobłażliwość. Całkowicie natomiast przygnębieni byli bracia Cortejowie, Josefa, Landola i Manfredo. Zdawali sobie sprawę, że z chwilą uregulowania stosunków w kraju, republikanie w majestacie prawa wydadzą na nich bardzo surowy wyrok.

Dwustu jeńców schwytanych przez Kurta i Sternaua umieszczono w obszernych piwnicach klasztornych. Trójkę zaś Cortejów, Landolę i Manfreda zamknięto w dwóch niewielkich ciemnych celach i na wszelki wypadek przykuto do ścian łańcuchami. W jednej siedziała Josefa z ojcem, w drugiej — Gasparino, Landola i Manfredo. Cele przedzielał korytarz.

Cała piątka była przygnębiona i ponura. Ani jeden z tych ludzi nie miał hartu ducha doktora Sternaua i jego towarzyszy, których wiary w Opatrzność nie potrafiła złamać ani osiemnastoletnia tułaczka, ani nieludzkie traktowanie przez Hilaria. Ponadto Josefa cierpiała z powodu bólu złamanych żeber i jęczała tak przeraźliwie, że Pablowi się wydawało, iż przebywa na dnie piekła.

Gasparino i Landola szybko pogodzili się z towarzystwem Manfreda, który jeszcze nie tak dawno trzymał ich pod kluczem. Już tak jest, że podli i nikczemni bratają się prędko. Pierwszego dnia obrzucili się wzajemnie najstraszliwszymi przekleństwami, a drugiego obiektem ich klątw stali się obecni prześladowcy; wspólnie snuli plany ratunku i zemsty. Ale czas robił swoje: z dnia na dzień cichli, pokornieli, po trzech tygodniach doszli do stanu graniczącego z apatią i zupełną biernością.

Czarny Gerard, którego pozostawiono w Santa Jaga razem z Marianem, starym hrabią Fernandem, kapitanem Ungerem, Grandeprise'm i Mindrellem, ogromnie się nudził. Któregoś dnia nie wytrzymał i pojechał do głównej kwatery Zapoteki, aby zaoferować swoje usługi. Energicznej naturze nie odpowiadało pilnowanie jeńców, będących, jak uważał, pod silną i całkowicie pewną strażą. Nie przyszło mu nawet do głowy, że tak solidnie strzeżeni więźniowie mogą przygotowywać ucieczkę.

— Caramba! — zaklął Landola. Przyzwyczajony do życia na morzu, ciężko znosił więzienne powietrze i ciemności. — Jeżeli to się nie skończy, nie wytrzymam dłużej, oszaleję. Wolałbym, aby nas postawiono już pod sąd. Jak długo siedzimy w tej dziurze? Niech mnie diabli porwą, jeżeli potrafię na to odpowiedzieć!

— Jesteśmy tu od dwudziestu dni — westchnął Gasparino zmęczonym, bezdźwięcznym głosem. — Co dzień w południe otrzymujemy kawał chleba i dzban wody. Naliczyłem ich dokładnie dwadzieścia.

— Dwadzieścia dni! — powtórzył Landola. — To wieczność! Nie mogę już zebrać myśli. Ten brak światła i okropny zaduch wysysają szpik z kości. Oddałbym całe życie pozagrobowe, w które zresztą nie wierzę, gdybym mógł raz jeszcze ujrzeć słońce i poczuć pod nogami pokład okrętu.

— Już wkrótce — wtrącił Manfredo — niczego czuć nie będziemy. Wszystko się skończy, gdy kat założy nam stryczek na szyję. Gdybym mógł oswobodzić ręce, nie siedziałbym tu beczynn timer i czekał na cud.

— Gdyby... — szydził Landola. — Więzienia wymyślił chyba diabeł. Nawet gdybyś nie był związany, jak wydostałbyś się z tej matni? Opowiadałeś wprawdzie, że jest tu w podziemiach, jakiś korytarz, który prowadzi do kamieniołomów. Ale przecież nasi wrogowie zmusili cię do wydania im planów klasztoru. Na pewno zablokowali to tajemne wyjście, a jeżeli nie, to je strzegą; nikt nie będzie mógł wydostać się tamtędy.

— To wszystko prawda. Nie mówiłem wam jednak, że istnieje jeszcze inne ukryte wyjście i nie ma go na planie, który odebrał mi ten przeklęty doktor. Stryj pominął je celowo. Musiał sobie zapewnić możliwość opuszczenia klasztoru na wypadek, gdyby się komuś udało tu wtargnąć i rozszyfrować jego tajemnice.

— Wiesz, gdzie jest to drugie wyjście?

— Wiem. Nie warto jednak rozwodzić się nad tym, dopóki...

Umilkł, gdyż ktoś odsunął rygiel. Otworzyły się ciężkie, okute żelazem drzwi i wszedł strażnik. W jednej ręce trzymał latarkę, w drugiej dzban z wodą, a pod pachą bochen chleba. Zobaczywszy go, Manfredo omal nie krzyknął ze zdumienia. Opanował się jednak, gdyż strażnik zmarszczył brwi, dając mu znak, by milczał.

Położywszy bochen i postawiwszy dzban z wodą, wyszedł, rzuciwszy znacząco wzrokiem na chleb. Znow zapanowały ciemności.

— To nowy strażnik, nie? — zainteresował się Landola.

— Miałem wrażenie, że chciał na coś zwrócić naszą uwagę. Dość dziwnie się zachowywał. Zauważyliście to?

— Cicho! — syknął Manfredo. — Niech pan nie mówi tak głośno, bo wartownik może usłyszeć. Znam tego strażnika. To jeden z dozorców klasztornych. Wyświadczyłem mu raz pewną przysługę, wydobyłem z wielkich tarapatów, może teraz chce się odwdziżyć. Wskazywał znacząco na chleb. Zobaczymy, co w nim ukryto!

Wziął do ręki bochenek. Gdy go przełamał, zorientował się natychmiast, o co chodziło dozorczy. Nie widział wprawdzie nic, ale wyczuł palcami jakieś przedmioty. Zaczął je dokładnie wymacywać.

— To krzesiwo używane na preiach — szepnął ze wzruszeniem. — I zdaje się, świeca, a tu kartka papieru i ołówek.

Cortejo i Landola aż oddech wstrzymali.

— Zapal szybko świecę! — wychrypiał po chwili Landola.

— A jeżeli światło nas zdradzi?

— Czy widać choćby promyk, gdy nam przynoszą jedzenie? Wartownik na pewno nie zauważy. Zresztą nie przyjdzie mu na myśl, że mamy świecę. Zapalaj!

Wkrótce zamigotał słaby płomyk. Manfredo przysunął do oczu kartkę i czytał powoli:

Z wielkim trudem udało mi się otrzymać pozwolenie na przyniesienie wam posiłku. Manfredo, czy życzysz sobie czegoś? Jeżeli tak, napisz na tej kartce i włóż do pustego dzbanka.

— Wielki Boże! — ucieszył się Manfredo. — Jesteśmy uratowani!

— Daleko jeszcze do tego — Landola był bardziej sceptyczny. — Najpierw trzeba pozbyć się kajdanów. Bez odpowiedniego klucza nie damy rady.

— Jeżeli tylko o to chodzi, to w szafce, w pokoju stryja, wisi zapasowy. Przypuszczam, że nikt o nim nie wie. Jeżeli dozorczy uda się go przynieść, będziemy wolni.

— A jak wydostaniemy się poza mury?

— Już moja w tym głowa! Przede wszystkim klucz i nóż.

— Zapisz to na kartce. Musimy oszczędzać świecę. Resztę omówimy po ciemku.

Manfredo napisał:

W kancelarii stryja jest nad biurkiem kasetka. Znajdziesz w niej kluczyk od naszych kajdan. Przynieś go, a także jakiś ostry nóż.

Zgasił świecę i schował ją do rękawa wraz z wszystkimi przedmiotami znalezionymi w chlebie. Gdyby wartownik zjawił się teraz, nie domyśliłby się, że przed chwilą więźniowie zrobili pierwszy krok ku wolności.

— Co dalej? — szepnął Gasparino Cortejo.

— Trzeba czekać — odparł lakonicznie Landola.

— Jak długo?

— Co najmniej trzy dni.

— Trzy dni! — jęknął Cortejo. — Dlaczego aż tyle? Nie wytrzymam nawet trzech godzin!

— Po co to biadolenie? Zrozumiałe, że wcześniej nie możemy być wolni. No bo policzcie: strażnik przeczyta kartkę jutro w południe, gdy przyjdzie tu z chlebem i wodą. Musi minąć dzień, zanim przemyci klucz i nóż. My z kolei dopiero następnego południa będziemy mogli przeprowadzić naszą akcję. Zasadzimy się na wartownika, gdy będzie otwierał drzwi, rzucimy się na niego i obezwładnimy.

— Darujemy mu życie?

— Nie.

— A naszemu wybawcy?

— Oczywiście tak. Z lekka go tylko poturbujemy, zwiążemy i zakneblujemy. Dzięki temu nie będą go podejrzewać, że był z nami w zмовie. Ale to jeszcze odległe chwile...

— Niestety! I wiele może się wydarzyć... No, a jeśli nam się uda wyjść z celi? Co dalej? Czy uwolnimy i zabierzemy ze sobą mego brata i bratanicę?

— Hm... — Landola namyślał się. Dopiero po chwili spytał: — Bardzo pan tęskni za swymi krewnymi?

— Właściwie nie. Nie zasłużyli na moją litość.

— I ja tak sędzę. Zresztą, stękająca z bólu Josefa przeszkadzałaby nam tylko w ucieczce. Po co kłopotać się o babę, którą i tak niedługo diabli wezmą.

— No właśnie — potwierdził Gasparino, a Manfredo odetchnął z ulgą.

— Nasza rola w aferze rodziny Rodrigandów zakończona — ciągnął Landola. — Zakończona raz na zawsze i ostatecznie. Co do tego nie mam żadnych wątpliwości. Chodzi tylko o to, żeby wyciągnąć maksimum korzyści. Prawda, senior Cortejo?

— Oczywiście. Ale nie wiem, w jaki sposób można by tu jeszcze zarobić. Nic mi nie przychodzi do głowy.

— Czyżby senior zapomniał o swoim synu Alfonsie?

— Jak to? Co chce pan przez to powiedzieć?

— Przecież to proste. Pański syn jest do tej pory nie kwestionowanym dziedzicem hiszpańskich posiadłości rodu Rodrigandów. Uprzedzając przeciwników, spieniężymy jak najszybciej wszystkie nieruchomości i ulotnimy się z zagarniętymi milionami.

— A jeżeli Alfonso się nie zgodzi?

— A co on ma do gadania? To dziecinada myśleć, że mógłby w dalszym ciągu grać

rolę hrabiego. Powinien więc być nam wdzięczny, że nie wyjdzie z tej afery goły niby święty turecki.

— Zakładając, że pański plan się uda, podzielimy się pieniędzmi?

— Jest nas trzech: pan, Alfonso i ja. Każdy otrzyma jedną trzecią.

— Zapomina pan o czwartym — wtrącił Manfredo. — Chyba nie przypuszczacie, że pozwolę się pominąć?

— Bądź spokojny. Nie zrobimy ci krzywdy. Rozumie się samo przez się, że ponieważ tobie zawdzięczamy ratunek, dostaniesz swoją część.

Brzmiało to przekonująco. Ale gdyby Manfredo mógł widzieć w ciemności, zobaczyłby na twarzy Landoli szydery uśmiech, nie wróżący nic dobrego.

— Pozostaje ostatnia sprawa do omówienia — Cortejo zwrócił się do Landoli. — W jakim kierunku będziemy uciekać? Do jakiego portu? Do Veracruz?

— To niemożliwe. Pełno tam cesarskich i meksykańskich wojsk. Nie przebijemy się przez nie. Musimy więc dotrzeć do jakiegoś zachodniego portu, San Blas lub Manzanillo. Droga do nich jest jako tako wolna. Mam nadzieję, że Maksymilian będzie jeszcze pewien czas stawiał opór Juarezowi. W każdym razie musimy znaleźć się w Hiszpanii, zanim wojna się skończy i stosunki polityczne się unormują. Jeśli nam się to nie uda, możemy się pożegnać z „sukcesją” — roześmiał się — po Rodrigandach.

Naradzali się jeszcze jakiś czas, w końcu ustalili plan działania w najdrobniejszych szczegółach.

Gdy czwartego dnia do lochu zszedł wartownik, by zmienić kolegę, ujrzał go leżącego na korytarzu w kałuży krwi z nożem w sercu. Pełen złych przeczuć, zbliżył się do najbliższych drzwi i odsunął rygiel. W celi siedział Cortejo i Josefa w kajdanach. Ale rygiel przeciwległych drzwi był odsunięty. Uchyliwszy je, wartownik omal nie potknął się o ciało. W świetle latarki rozpoznał, że to strażnik roznoszący żywność. Był związany, usta miał zakneblowane. Natomiast trzech więźniowie zniknęli. Na ścianach wisały łańcuchy z pootwieranymi kajdankami.

Wartownik tak szybko, jak na to pozwalały jego drżące ręce, uwolnił z więzów i odkneblował strażnika.

— Na litość boską, mów, co tu się stało! — zawołał.

— Gdy wczoraj w południe otworzyłem drzwi — zaczął poszkodowany — aby wnieść więźniom jedzenie, jeden wyskoczył z celi i dopadłszy w korytarzu wartownika, zaatakował go nożem. Pozostali rzucili się na mnie związali i zakneblowali. To wszystko, co mogę powiedzieć. Jest dla mnie zagadką, jakim cudem otworzyli łańcuchy i skąd mieli nóż.

Wartownik zameldował o wypadku majorowi, dowódcy jednostki, sprowadzonej do klasztoru przez Sępiego Dzioba. Oficer natychmiast zszedł do lochów razem z don Fernandem, Marianem i Grandepriśem, kapitanem Ungerem i Mindrellem; ucieczka zbrodniarzy mocno ich poruszyła.

Grandepriś dokładnie przeszukał celę, nie znalazł jednak nic, co mogłoby się przyczynić do wyjaśnienia sprawy. Kręcąc głową, spytał majora:

— Sądzi pan, senior, że jeńcy mogli uciec bez pomocy z zewnątrz?

— To wykluczone.

— Proszę w takim razie o aresztowanie strażnika, którego znaleziono w celi. Podejrzewam, że to on dopomógł jeńcom w ucieczce.

— Na jakiej podstawie tak pan przypuszcza?

— Sam pan powiedział, że jeńcy nie mogli uciec bez pomocy. Wchodzą w rachubę tylko dwie osoby: wartownik i strażnik, który w ostatnich dniach nosił jeńcom żywność. Nie mógł to być nikt inny, gdyż wyjścia są pilnie strzeżone, a więc nikt obcy nie miał dostępu do klasztoru. I dodatkowy argument: dlaczego zbiegowie jednego zamordowali, a drugiego jedynie obezwładnili? Odpowiedź jest prosta: ponieważ ten drugi był ich współnikiem.

— Brzmi to przekonująco — powiedział major i zwracając się do strażnika krzyknął: Ułatwił pan tym łotrom ucieczkę!

— Ależ skąd! To nie ja. Nie mam pojęcia, jak...

— Zobaczymy. Związać go.

Teraz przystąpiono do przesłuchania dwu wartowników, pilnujących wyjść z klasztoru. Żaden nie zauważył nic podejrzanego. O wydostaniu się przez podwórze, a nawet przez kamieniołomy mowy być nie mogło. Przesłuchano również Pabla Corteja i Josefę. Na wiadomość, że towarzysze niedoli uciekli bez nich, oboje zaczęli szaleć ze złości.

Ucieczka trójki więźniów pozostałaby zapewne nie rozwiązana zagadką, gdyby nie to, że major miał ze sobą angielskiego charta, znakomicie wyszkolonego w tropieniu śladów. Już nieraz znajdowano przy jego pomocy żołnierzy, którzy samotnie przedłużali sobie urlopy.

Wprowadzono psa do celi, w której przebywali zbiegowie; złapał ślad. Z pyskiem przy ziemi zaczął z taką siłą ciągnąć smycz, że prowadzący żołnierz ledwie mógł za nim nadążyć. W błyskawicznym tempie przebiegli korytarz, a potem, minawszy schody, dostali się do piwnicy, położonej nieco wyżej. Tu chart zatrzymał się i zaczął drapać łapą jedną ze ścian. Widniało w niej małe wgłębienie. Grandepriś włożył rękę i przycisnął: ściana się rozsunęła.

— Do licha! — zawołał ze zdumieniem. — To jeszcze jedno tajemne wyjście, którego

nie ma na planie! Ten stary klasztor jest prawdziwym labiryntem. Jazda, naprzód!

Dość długi korytarz kończył się prostopadłym kamiennym murem. Pies zaczął go zapamiętale obwąchiwać. Po skrupulatnych poszukiwaniach spostrzeżono niepozorny guzik, naciśnięto — i mur się rozstał. Wszyscy znaleźli się nagle w pełnym świetle słonecznym pośrodku drogi prowadzącej z miasta do szpitala. Przez gałęzie drzew widać było w oddali budynki klasztorne. Mur, maskujący wejście do podziemi, był tak wkomponowany w kamienisty teren, że nikomu z przechodniów nawet nie przyszło do głowy, iż stąpają po sklepieniu tajemnego korytarza.

— Zagadka rozwiązana — powiedział Grandepriese. — Już wiemy, którędy zbiegli. Panie majorze, czy wypożyczy mi pan psa?

— Oczywiście. Ale chyba nie zamierza senior gonić ich w pojedynkę?

— Nie. Znajdę chyba kilku chwatów, którzy lubią polowania.

— Idę z panem — zawołał Mariano. — Mam z tymi łotrami spore porachunki!

— I ja się przyłączę — oświadczył Mindrello. — Nie mam ochoty trwonić czasu na bezczynne czekanie.

— Ja również — powiedział don Fernando — nie chcę patrzeć spokojnie, jak te łotry...

— Nie! — przerwał mu Grandepriese. — Szanuję pana bardzo, don Fernando, ale niech pan pozostawi pościg nam, młodszym. Przysięgam na wszystkie świętości, że może pan na nas liczyć. Przyjmuję do kompanii pana bratanka i seniora Mindrella. Ale na tym koniec. Większa liczba osób zwolniłaby tylko tempo pościgu. Zresztą, ktoś z nas powinien zostać tutaj. Nie zapominajmy, że Pablo Cortejo i Josefa są bardzo przebiegli i też mogą podjąć próbę ucieczki.

Don Fernando i kapitan Unger pozostali więc w klasztorze.

Major nalegał, aby Grandepriese wziął ze sobą kilku dragonów, ale traper stanowczo odmówił. Po upływie godziny Grandepriese, Mariano i Mindrello, zaopatrzeni na tydzień w żywność, ruszyli w drogę na rączych koniach. Przed nimi biegł pies, niemal dotykając nosem ziemi. Na stromej ścieżce jeźdźcy musieli zwolnić, gdy ją minęli przeszli ze stępa w cwał, aby nie stracić z oczu czworonożnego przewodnika.

Niewidoczny ślad prowadził łukiem dokoła miasta. Nie ulegało wątpliwości, że zbiegowie unikali spotkania z ludźmi. Daleko za Santa Jaga pies raptownie skręcił na południe. Grandepriese zdumiał się, był bowiem przekonany, że uciekinierzy obiorą kierunek północny, bo tereny te były mniej zamieszkane.

— Senior, kiedy pana zdaniem dogonimy tych łotrów? — zapytał Mariano

Grandeprise'a.

— Zależy, czy i kiedy zdobyli konie. Jeżeli prędko, to ze względu na to, że opuścili klasztor półtora dnia wcześniej od nas, należy się liczyć z długą jazdą.

Około południa ścigający ujrzeli samotne rancho. Pies gwałtownie skręcił w kierunku zabudowań. Zatoczył łuk i zatrzymał się w miejscu, w którym pełno było śladów końskich kopyt. Obwąchiwał je przez jakiś czas, zwracał się to w jedną, to w drugą stronę, wciągał nosem powietrze, wreszcie machając ogonem, położył się na ziemi. Nie ulegało wątpliwości, że stracił trop; widać uciekający dosiedli koni. Ślady kopyt trzech wierzchowców prowadziły na południowy zachód.

Grandeprise spiął konia i podjechał do bramy rancho. Stał tam stary vaquero i przyglądał mu się niezbyt przyjaźnie.

— Buenos dias, senior! — powitał go traper uprzejmie. — Bądźcie łaskawi powiedzieć, czy widzieliście tu wczoraj trzech obcych mężczyzn.

Vaquero zasepił się jeszcze bardziej.

— To pańscy towarzysze, senior?

— Skądże! To zbiegli zbrodniarze, których poszukujemy. Wyraz podejrzliwości ustąpił z twarzy vaquera.

— Jeżeli tak, chętnie powiem, co mi wiadomo. Nie widzieliśmy nikogo, ale ubiegłej nocy musieli tu być jacyś ludzie, ponieważ dziś rano stwierdziliśmy brak trzech koni i trzech siodeł.

— Nie ulega wątpliwości, że to oni. Dziękuję za informację. Adios, senior!

— Nie ma za co. Jeżeli chcecie mi sprawić przyjemność, powieście tych łotrów na pierwszej lepszej gałęzi.

— Możecie być pewni, że kiedy zostaną schwytani, nie ominie ich sprawiedliwa kara.

Grandeprise wrócił do towarzyszy. Oddalały się nadzieje na szybkie ujęcie zbiegów. Z pewnością wykorzystali na jazdę noc, mieli więc przewagę jednej nocy i pół dnia. Nielatwo było nadrobić ten czas, zwłaszcza że ścigający, aby nie zgubić śladów, po zmroku musieli się zatrzymać. Jedynej szansy należało upatrywać w tym, że przestępcy byli bez pieniędzy, broni i amunicji i że po drodze musieli zaopatrywać się w żywność, co z pewnością opóźni ich ucieczkę.

Po krótkim wypoczynku Grandeprise wziął psa na smycz i cała trójka ruszyła w kierunku południowym.

Choć śladów nie zgubili, nic nie świadczyło, że zbliżyli się do uciekinierów. Jechali w milczeniu aż do wieczora. Mindrello kłął na czym świat stoi. Mariano z ponurą miną

wpatrywał się w grzywę swego konia i targał niecierpliwie brodę. Tylko Grandepriś zachowywał pozorny spokój, choć w środku aż kipiał ze złości.

Zsiedli z koni dopiero wtedy, gdy najbystrzejsze nawet oko nic nie mogłoby dojrzeć. Biwak rozłożyli na ogromnym pastwisku jakiejś hacjendy. Z daleka migały światelka domostwa. Był to, jak przypuszczali, ostatni — najbardziej wysunięty na południe — spośród folwarków w tym rejonie. Po posiłku Grandepriś i Mariano udali się do hacjendy, aby zmienić konie. Taka okazja nieprędko im się już zdarzy.